

Śnieżnica, miejsce, gdzie spotykają się bogactwo historii i piękno przyrody



Fot. Zbigniew Sułkowski

Nie marnuje talentu

- malarstwo Władysława Frączka

Człowiek przestrzeni

- rozmowa z Markiem Dudkiem

Znalazł swoje miejsce za kamerą

- wywiad z Januszem Sejmejem

**Młody, zdolny, wiecznie
roztańczony KEDDEX**

Cisza zamknięta w śniegu

- międzynarodowy konkurs rzeźby w śniegu
Elżbieta i Piotr Zbrożek

**Barwna postać limanowskiej konspiracji,
czyli Jadwiga Czartoryska**

Księga miejska z XVIII w.

Kominy limanowskiego przemysłu



Śnieżnica widziana z Lubonia Wielkiego. Na jej południowym stoku widoczny jest Ośrodek Rekolekcyjny.

Fot. Zbigniew Sułkowski

MIEJSCE, GDZIE SPOTYKAJĄ SIĘ BOGACTWO HISTORII I PIĘKNO PRZYRODY



Ośrodek na Śnieżnicy dziś

Fotografie: Piotr Ociepka

Ośrodek Rekolekcyjno-Rekreacyjny na Śnieżnicy

ks. Jan Zając

Taka prawdziwa „dziura w lesie” - mała leśna polana w kotlinie górskiej, wśród bukowo-jodłowego lasu, na południowym stoku Śnieżnicy. Znikąd nas tu nie widać, chyba że z samolotu. Z Lubonia Wielkiego (oddalonego o ponad 10 km) widać tylko dach największego budynku. Dojść tu można dość łatwo od szosy Mszana Dolna – Limanowa, z przełęczy na Gruszowcu, w niecałe pół godziny, leśną drogą. Tędy wiedzie zresztą *szlak papieski* wyznaczony górami od Rabki do Limanowej. To miejsce – śródleśna polana (840 m n.p.m.), na której od dawnych czasów pasano krowy i woły – dokładnie 80 lat temu stała się przedmiotem zainteresowania i troskliwego działania ks. Józefa Winkowskiego (1888 - 1951), zakopiańskiego katechety i znanego wychowawcy młodzieży. Od pewnego już czasu poszukiwał miejsca na *letnią kolonię* dla młodzieży ze szkolnej Sodalicji Mariańskiej, którą to założył 10 lat wcześniej. Z pomocą zaprzyjaźnionego ks. Józefa Stabrawy, proboszcza i dziekana z Mszany Dolnej, zapoznał się z tym miejscem na Śnieżnicy, podjął decyzję o kupnie i w 1928 r. rozpoczął budowę kolonii.

Sodalicja Mariańska w szkołach średnich (maturalnych) była bardzo rozpowszechniona, liczyła kilkanaście tysięcy chłopców i dziewcząt i obejmowała cały kraj. Ks. Winkowski był założycielem i głównym moderatorem sodalicy chłopców i dla nich właśnie budował kolonię na Śnieżnicy. Pierwszym celem takiej, jedynej w Polsce, formy wakacyjnego odpoczynku było poznanie się i zaprzyjaźnienie młodych ludzi – dziś użylibyśmy tu modnego słowa „integracja” - z całej Polski, ułatwiające zatarcie różnic i podziałów, jakie były skutkiem długiego

rozbitcia i izolowania kraju pod zaborami. Cel ten przyświecał zresztą wszystkim światłym ludziom a szczególnie wychowawcom i duszpasterzom tamtego czasu. Na śnieżnickiej kolonii w ciągu całej jej działalności dbano bardzo o ten ogólnopolski charakter, wystrzegając się jakiegokolwiek „przewagi” uczestników z któregoś z trzech byłych zaborów (któreś z ziem). Cel drugi, bardziej widoczny, to podreperowanie zdrowia młodzieży. W wydawanym dla młodych sodalisów miesięczniku „Pod znakiem Marii” publikował w 1932 r. „zatrważające cyfry” obra-



Na szczycie Śnieżnicy - maj 1930 r. Ks. kardynał Stefan Sapięha i osoby towarzyszące (jak na fotografii poniżej).

zujące dramatyczny stan zdrowotny polskiej młodzieży (szkół średnich), z których np. wynikało, że w roku szkolnym 1927/28 zachorowało aż 43 602 uczniów, a zmarło aż 312! Apelowal więc w pierwszej odezwie wystosowanej do księży katechetów zaraz na początku budowy kolonii: „*Dziociom miast chcemy dać parę tygodni przeczyszczonego powietrza naszych gór, parę tygodni na słońcu i w lesie, i nad kryształowym źródłem przeczyszczonych wartkich wód. Ze wszystkich dawnych dzielnic i ziem zjednoczyć je chcemy przy wspólnym obozowym ognisku, w czystej, zdrowej atmosferze Chrystusowego i mariańskiego ducha, pod troskliwą, serdeczną opieką naszych księży prefektów*”.

Śnieżnica była miejscem idealnym, wręcz opatrnościowym. Boża opieka nie opuszczała Założyciela przez cały czas. Samo już nabycie terenu – 180 morgów (ok. 100 ha) lasu z polaną za 50 000 zł, z rozłożoną na kilka lat płatnością – było dobrym znakiem na początek. Położenie Śnieżnicy przy linii kolejowej Chabówka – Nowy Sącz, będącej odgałęzieniem linii Kraków – Zakopane miało w tamtych czasach, gdy nie było komunikacji samochodowej, podstawowe znaczenie. Wielkie zaś zachwyty i pochwały dla walorów górskiego środowiska



Śnieżnica - maj 1930 r. Siedzą od lewej: burmistrz Mszany Dolnej, ks. Edward Lubowiecki - kapelan ks. kard. S. Sapięhy, ks. kardynał Stefan Sapięha, ks. Zygmunt Kulig - kanonik Kapituły Katedralnej w Krakowie. Stoją: ks. Józef Winkowski z kierownictwem Składnicy Kółek Rolniczych w Mszanie Dolnej i ks. Józef Stabrawa - proboszcz Mszany Dolnej.



Uczestnicy pierwszego turnusu Kolonii - lato 1930 r.



Kaplica postawiona w 1931 r. Rozebrana została w 1968 r. Dziś rosną tu zasadzone później lipy.



Jeden z budynków „Zakop

leśnego tego miejsca, jakich nie szczędził ks. Winkowski i odwiedzający kolonię ludzie, i dzisiaj powtórzy każdy wrażliwy na przyrodę człowiek, jeśli tutaj zawita. Po dwu latach budowy latem 1930 r. otwarto kolonię dla kilkunastu uczestników jednego wtedy turnusu. Oprócz kuchni z jadalnią na werandzie, prowizorycznej kaplicy w małym budyneczku, zamienionym rok później na mieszkalny, były jeszcze dwa budynki-baraki na kilkadziesiąt miejsc noclegowych na piętrowych łózkach. Ale były też i dwa boiska sportowe (małe i duże) i świetlica. W następnym roku (i przez wszystkie lata) były już dwa turnusy, po 4 tygodnie każdy; postawiono też drewnianą kaplicę pośrodku placu (do dziś rosną lipy posadzone wtedy przy niej), wyrównano teren i zrobiono zwirowe ścieżki. W 1932 r. powstała „Prezesówka” z mieszkaniem dla księdza, pokojem gościnnym i biblioteką. Zaczęto też budować basen kąpielowy, dokończony w roku następnym (miał 6 x 12 metrów).

Sodalicyjna *kolonia letnia* to nie tylko miejsce, ale i sposób spędzania czasu przez młodzież. Na każdym turnusie bywało po kilkudziesięciu chłopców pod opieką księdza kierownika, który dbał o realizację programu. Trzeba tu powiedzieć, że to nie były żadne rekolekcje, tak dzisiaj już popularne i „normalne”, nie tylko zresztą podczas wakacji. Owszem były na kolonii codzienne wspólne modlitwy, także i Msza św., ale i codziennie była gimnastyka poranna, 3 godziny pracy na rzecz kolonii, dużo zajęć sportowych i świetlicowych, wycieczki (obowiązkowo Szczyrzyc, często Turbacz, czasem i Tatry!), ogni-

ska z piosenkami i skeczami, referaty i dyskusje, no i – 5 posiłków dziennie! Produkty do kuchni pochodziły od miejscowych rolników, przechowywanie ułatwiała naturalna chłodnia – piwniczka z nagromadzonym pod koniec zimy lodem (z basenu kąpielowego), zabezpieczonym na czas letni! Kolonia miewała często gości, odwiedzali to miejsce szczególnie księża ciekawi rezultatów tyłu starań, o których było słyhać po całej Polsce. Ks. Winkowski bowiem nie tylko pisał odezwy, opowiadał o kolonii na różnych spotkaniach, ale także wydał kilka widokówek w tysiącach egzemplarzy, podobnie i znaczków oraz naklejek, a sodalicyjny miesięcznik miał ok. 10 tys. nakładu!

Najdostojniejszym gościem kolonii był ks. kardynał Adam Stefan Sapieha, metropolita krakowski, który zresztą Śnieżnicę odwiedził dwa razy. Pierwszy raz w maju 1930 r. przy wizytacji dekanatu mszańskiego, drugi raz w lipcu 1936 r., gdy przybył na 2 dni. Poświęcił wtedy dwa (stojące zresztą do dziś!) nowe budynki, odprawił Mszę św., był na ognisku z młodzieżą a także na szczycie Śnieżnicy. Przy okazji warto wspomnieć o wymianie odwiedzin chłopców ze Śnieżnicy z sodalicyjną kolonią dziewcząt, która mieściła się w szkole w Łososinie Górnej.

Przez okres 10 lat, do wybuchu wojny, przeszło przez kolonię więcej niż 500 uczestników z całej Polski – od Wilna, Gdyni i Poznania po Stanisławów, Lwów i Cieszyn. Księża kierownicy też byli z różnych stron, wymienię przynajmniej miejscowości, skąd tu przybyli: Pszczyzna, Mszana Dolna, Oświęcim, Zawiercie,

Jasło, Łańcut, Krosno, Radom (bl. ks. Kazimierz Grelewski, męczennik obozu Auschwitz), Siedlce, Tomaszów Lub., Kruszwica, Włocławek. Przez kilka ostatnich lat kuchnię prowadziły siostry Serafitki z Oświęcimia. Ostatni turnus zakończył się przed czasem – 25 VIII 1939 r. Pod tą datą jest ostatni wpis w „Księdze pamiątkowej” kończący się słowami: *Boże, miej nas w swej opiece przemożnej!* Ta właśnie kronika, zachowana cudownie do dziś, jak również miesięcznik sodalicyjny, są bogatym źródłem wiadomości o przedwojennej kolonii.

W czasie wojny budynki nic nie ucierpiały. Były zresztą pod opieką Piotra Chrustka z Gruszowca, który sprawował pieczę nad mieniem kolonii, także i lasem, prawie od samego jej początku. Władza ludowa, która nastąpiła po wojnie, zabrała całe mienie sodalicyjne, sodalicyja zresztą niedługo potem została zdelegalizowana, jak wiele organizacji nie-socjalistycznych. Przez jakiś czas budynki dzierżawiła (za remonty) YMCA z pobliskiej Lubogoszcy, przysyłając tu na lato personel i uczestników wypoczynku. Następnie i ta organizacja (rodem z Zachodu) została zakazana, obiekty kolonii następnie wykorzystywali nieraz harcerze, kolonie spółdzielczości pracy, szkoły... W 1968 kaplica została za zgodą krakowskiej Kurii rozebrana i formalnie przeniesiona do Raby Niżnej, gdzie akurat starano się o pozwolenie na budowę kościoła. W tym też czasie spłonął jeden z budynków, wszystkie zaś potrzebowały gruntownego remontu. Jak słyzałem, był nawet zamiar zaniechania tu jakiegokolwiek działalności, opuszczenia tego miej-



„szkoła” postawiony w 1936 roku, zachowany do dziś.



Przy basenie kąpielowym latem 1962 r. - dziś nieistniejącym.

sca. Wtedy właśnie powiat limanowski zatroszczył się o przyszłość Śnieżnicy, jego przedsiębiorstwo turystyczne „Śnieżnica” zaczęło remontować, a w dużej części i przebudowywać obiekty dawnej kolonii. Zasadniczo powstały 2 nowe budynki, już murowane, i do tego drewniana świetlica typu „domek mszański”. Został doprowadzony kablem prąd, budynki otrzymały bieżącą wodę i centralne ogrzewanie oraz oczywiście kanalizację. Zanedbany został niestety basen, który zamulony - porosły drzewa. Działo się to pod koniec lat 60 i początkiem 70. ub. wieku. Jakby uwieńczeniem tego dzieła był wyciąg orczykowy (ponad 1 km) i stok narciarski od stacji PKP w Kasinie Wielkiej, którego górna stacja jest mniej więcej na wysokości dawnej kolonii, oddalona od niej ok. 700 m. Tak więc to miejsce mogło teraz być wykorzystywane przez cały rok. Przybywała tu najczęściej młodzież i kadra akademicka związana ze sportem, ale także i inni, np. szkoły z Krakowa, różne kursy, szkolenia a także i turyści, w tamtych czasach dość licznie wędrujący i bywający w górach. Niestety, wiadomości na temat tego okresu nie mam jednak ani pełnych, ani też tak pewnych, abym mógł więcej napisać. Chętnie je uzupełnię, także o jakieś zdjęcia i pamiątki, gdyż właśnie zaczynamy tu robić małe muzeum i izbę pamięci poświęconą naszej historii. Wdzięczny będę za każdą pomoc!

Po przewrocie politycznym w 1989 r. nastąpiły nowe czasy. Wtedy to rozpoczęły się starania o odzyskanie dawnej kolonii. Prowadził je niezłomny ks. prałat Antoni Sołtyś, proboszcz par. św. Mi-

kołaja w Krakowie, dawny zresztą wikariusz mszański, znający ten teren, ale przede wszystkim zapalony duszpasterz młodzieży. Nie czekając na zakończenie formalności (trwało to prawie 2 lata), przybywał tu z młodzieżą lub przysyłał ją z innymi księżmi. Zorganizował tutaj jeden z pierwszych ogólnopolskich zjazdów odradzającego się Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży z udziałem ks. biskupa Władysława Bobowskiego z Tarnowa. Powoli zaczęło się to miejsce odradzać, wracając do swej pierwotnej misji – ułatwiania ludziom, zwłaszcza młodym, odnalezienia siebie we wspólnocie z Bogiem, z bliźniemi i w harmonii z przyrodą, która była tu zawsze tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Tak powstał tutaj Młodzieżowy Ośrodek Rekreacyjno-Rekreacyjny, ale jego wygląd pozostawiał wiele do życzenia. Rozpoczęły się więc prace remontowe i adaptacyjne. Barak-świetlica stał się tymczasową, choć miłą i dość stylową kaplicą. Parterowy „budynek gospodarczy” został nadbudowany i poszerzony, zrobiliśmy nową kotłownię i ogrzewanie gazem, który doprowadziliśmy tu prawie kilometrowym odcinkiem. Od paru lat działa też słoneczne ogrzewanie wody. W naszej kotłowni jest więc czystutkie powietrze i oczywiście ta krystaliczna źródłana woda, którą wychwalał ks. Winkowski już 80 lat temu! Na miejscu tymczasowej kaplicy wybudowaliśmy prawdziwy kościółek z drewna i kamieni, właśnie czeka on na swe poświęcenie, ma być pod wezwaniem Jana Pawła II, gdy zostanie on wyniesiony na ołtarze. W tym roku chcemy zakończyć remont najstarszego budynku, znajdzie się w nim

miejsce na małe muzeum Sodalitacji Mariańskiej i izbę pamięci poświęconą dziejom kolonii letniej. Czekają nas jeszcze roboty przy uporządkowaniu terenu i otoczenia Ośrodka łącznie z budową zbiornika wodnego. Wszystko to robimy własnym sumptem, poza skromnymi ofiarami od naszych dobrodziejów z całej Polski nie otrzymujemy od nikogo żadnej pomocy, ani dotacji (prócz części kosztów wykonania ogrzewania słonecznego, refundowanych przez ochronę środowiska). Wspomnę tu i taką bolesną dla nas sprawę, jaką jest utrata (ciągle mamy nadzieję – chwilowa) naszego lasu, zabranego po wojnie przez władzę ludową. Wskutek nieszczęsnej polityki „grubej kreski” nawet zmiany ustrojowe po 1989 r. niestety nie przyniosły zmiany w naszym słusznym odczuciu wielkiej krzywdy, jaką nam wyrządzono. Ale naszym życiem i radością są goście, zwłaszcza jeśli są zadowoleni z pobytu i potrafią docenić zalety tego miejsca. Zresztą te dwie rzeczy są jakoś naturalnie ze sobą powiązane. Na szczęście rośnie liczba ludzi, którzy poszukują prawdziwego czyli integralnego wypoczynku – dla ducha i dla ciała, a taki w naszym Ośrodku jest raczej pewny. Niemożliwość dojazdu samochodem tylko przez chwilę wydaje się utrudnieniem i anachronizmem, znikają takie odczucia, gdy tylko zakosztuje się tutejszej ciszy wieczoru i nocy oraz smaku balsamicznego leśnego powietrza. Mamy tu dużo grup rekreacyjnych, wczasów rodzinnych w mniejszych lub większych „zestawach”, wycieczek szkolnych oraz różnych pobytów szkoleniowych. Wędrujący po górach turyści (w grupkach

► czy pojedynczo) są bardzo mile widziani, choć tak często się nie zdarzają. Wędrowanie po górach jakby zanika... I trzeba przyznać, że nasz Ośrodek ma znowu ogólnopolski charakter, jak kiedyś *kolonia letnia!* Bywają i goście z zagranicy, większe grupy mieliśmy z Chorwacji, Holandii i Ukrainy. Mamy tu wyraźnie dwa sezony: zimowy i letni, choć i poza tymi okresami bywają grupy, szczególnie te rekolekcyjne. Zima u nas jakoś zawsze dopisuje. Na tej wysokości i w tym mikroklimacie mamy dosyć śniegu, przynajmniej na narciarstwo biegowe (piękne ścieżki i zakątki po lesie!), nawet w najcieplejsze zimy, gdy w rejonie Limanowej lub Mszany jest szaro i mokro. Gdy zaś jest typowa zima – u nas wtedy można cieszyć się śniegiem prawie 5 miesięcy. Zmodernizowany rok temu pobliski wyciąg narciarski, teraz już jako kolej krzeselkowa, staje się coraz większą atrakcją Śnieżnicy, nie tylko zresztą dla narciarzy. W minionym roku dzięki „krzeselkom” przybyło chyba z pół tysiąca ludzi więcej na każdy z tutejszych Odpustów: św. Jadwigi Królowej w czerwcu i Matki Bożej w sierpniu. Bardzo dużo ludzi przybywa też na Pasterkę w Boże Narodzenie oraz tydzień później – w Nowy Rok. Ta druga okazja – przywitanie Nowego Roku – gromadzi turystów także i na szczycie Śnieżnicy, gdzie Mszę św. odprawia ks. Adam Podbiera z Krakowa.

Trudno tu w górach urządzać uroczystości, tak wiele przecież zależy od pogody, serdecznie zapraszam więc w każdym możliwym czasie do tego ciekawego miejsca, bez oczekiwania na wielką okazję!

**Tekst: ks. Jan Zając
kapelan Ośrodka Rekolekcyjnego**

**Fot. archiwalne ze zbiorów
Ośrodka Rekolekcyjnego
przygotował: Mieczysław Malinowski**

Ogłoszenie

Muzeum Sodalicji Mariańskiej powstaje na Śnieżnicy w odremontowanym przedwojennym budynku, jaki powstał po sodalicyjnej kolonii letniej z lat 1928-1939. Poszukujemy wszelkich pamiątek sodalicyjnych, zdjęć, tekstów, dokumentów oraz wspomnień uczestników i członków SM. Wdzięczni będziemy także i za możliwość skopiowania takich pamiątek rodzinnych, zwłaszcza zdjęć. Ponadto przyda się także przedwojenna literatura turystyczna, mapy, widokówki tego rejonu Beskidów. Wszelkie informacje prosimy kierować na adres:

Śnieżnica, 34-741 Kasina Wielka

Tel. 0 18 33 14 320

e-mail: snieznica@ksm.org.pl

Z góry serdecznie dziękuję.

ks. Jan Zając - kapelan Ośrodka na Śnieżnicy

Halina Matras

Jan Fudala -

Pedagog, zawodnik i trener narciarski, tancerz, aktor, poeta, satyryk, malarz, twórca zespołów regionalnych, muzealnik, szeroko znany badacz kultury Gorców i Podhala.

Pochodził z Olszówki z rodziny o tradycjach patriotycznych. Ojciec Bronisław, żołnierz, partyzant 1-go Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej wyjechał na krótko z rodziną z Olszówki przed powojennymi przesładowaniami. Jasiek urodził się w roku 1951 w Dobrzykowicach k/Wrocławia, ale Szkołę Podstawową ukończył w Olszówce i tam do dziś mieszka jego mama i rodzeństwo.

Był absolwentem Liceum Technik Plastycznych im. A. Kenara w Zakopanem, Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie. W czasie Akademickich Mistrzostw Świata w Szwajcarii zdobył w roku 1973 złoty i srebrny medal. Miał także inne wielkie osiągnięcia sportowe.

Tańczył w Akademickim Zespole Góralskim „SKALNI” w Krakowie, a później w Zespole im. Klimka Bachledy w Zakopanem. Był twórcą i współtwórcą zespołów regionalnych „KROPIANKI” w Rabie Wyżnej, „HARENDA” w Zakopanem, „ZAGÓRZE” w Kasinie Wielkiej oraz dziecięcego zespołu „ZORNICA” przy MCK w Zakopanem.

W czasie studiów w Krakowie, wspólnie z Franciszkiem Bachledą-Księdzulozem i Andrzejem Gąsienicą-Makowskim założył grupę poetycką „Juhasi” piszącą wyłącznie gwara góralską.

Wszechstronnie utalentowany. Chyba łatwiej byłoby wymienić czego Jasiek w życiu „nie robił”. Dzięki talentowi i swojej cygańskiej urodzie grał w kilku filmach m.in. „Legenda Tatr”, „Ród Gąsieniców”, „Nuty moje nuty”, „Nie zabijesz wiatru” i innych.

Fudala jest także autorem kilku tomików poetyckich i satyrycznych: „Śrybelny miesiącku” (1980), „Fudala w karczmie” (1984), „Wiersze gorczańskie” (1987), „Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Fudala” (1987), „Młodnik” – wiersze z Podhala, Orawy, Spisza (1989), „Od Sabaty do Fudali czyli humor góralski” (1989), „Czarno-



morskie liryki” (1990), „Orawiana” (1996), „Supersoltys – humor zbójcecki (2006), „Nieszczęśnicy – zbójcecki humor” (2006). Swoje utwory poetyckie publikował w wielu pismach regionalnych „Tygodniku Podhalańskim”, „Naszych stronach” a także w „Gazecie Krakowskiej”, „Dunajcu” i in.

W roku 2004 wydał książkę pt.: „Gawędziółki o Profesorze Tischnerze”. W publikacji tej zawarł humorystyczne opowiadania o księdzu, którego znał osobiście, podziwiał i darzył wielkim szacunkiem. Kolejną książkę wydał w 2004 r. pt.: „Kto się cieszy, ten nie grzeszy”. To opowieść z pogranicza fikcji i literatury faktu poświęcona ojcu autora śp. Bronisławowi i ukochanemu Jasionowowi - przysiółkowi wsi Olszówka, skąd wywodzi się Ród Fudalów. W książce tej znane osoby w Gorcach i na Podhalu spotykają się na posiadach w drodze do nieba, wcześniej do czyścica, którego rolę pełnią roztoki – gorczańskie strumienie oczyszczające dusze z grzechów.

Fudalowe malarstwo na szkle również ma swoje znaczące miejsce w sztuce podhalańskiej i zakorzenione jest głęboko w góralskiej tradycji, tej samej z której wyrasta sam artysta. Jaśkowe obrazy wyróżniają się dużą ekspresją, jasną perlistą kolorystyką,

Jasiek z Gorców nie żyje

bogactwem formy i treści oraz fantazyjną kreską. Często w kruchej kompozycji zawarty jest duży ładunek emocjonalny, nawiązanie do tradycji góralskiej, do korzeni naszej narodowej i ludowej kultury. Sceny z życia zbójników, podhalańskich świętych, szopek, kolędników kipią radością życia, a autor przedstawia na nich, czasami dość rubaszne, doczesne słabości człowieka, którym bardzo często spod góralskiego kapelusza przygląda się pobłażliwym ale bystrym okiem *Jaśkowy Pon Jezusek*. Swoistego rodzaju memento!

Od roku 2000 do 2007 dyrektor Muzeum im. Władysława Orkana w Rabce-Zdrój. Był znawcą i wielkim miłośnikiem twórczości patrona Muzeum.

Fudala kilkakrotnie gościł w naszej bibliotece. W roku 1992 w wielkiej ekspozycji pt.: „Oni rozslawiają region” - prezentowaliśmy jego prace malarskie oraz tomiki poezji. Już wtedy jego twórczość wywarła wielkie wrażenie na zwiedzających. W księdze pamiątkowej pozostały wpisy jego i Jego żony Lubomiry – Bułgarki, lekarza stomatologa, z którą ożenił się w roku 1989.

W lipcu 1997 roku Fudala prezentował w Miejskiej Galerii Sztuki autorską wystawę ponad stu prac malarstwa na szkle. Wystawę tę podziwiali liczne grono przyjezdnych i miejscowych miłośników sztuki.

Oto niektóre wpisy do księgi pamiątkowej:

„Każdy obrazek prezentowany na wystawie czaruje barwą i zaskakuje różnorodnością przedstawianych scen. Tryska radością życia, porywa w baśniowy świat góralskich gadek, przeżyć i wzruszeń”....

„Wszystkie barwy lipca i całego świata można znaleźć w Jaśkowym malowaniu podhalańskich świętych, szopek, kolędników i zbójnickiego życia. Dzięki za tę twórczość, za wspaniałą ekspozycję, która nam chociaż trochę ubarwiła ten szary, zniszczony powodzią nasz limanowski świat”....

W Kronice Kulturalnej „Echa Limanowskiego” z lipca 1997 r., po oglądnięciu wystawy, Jerzy Bogacz parafrazując słowa starego gazdy z góralskiego dowcipu napisał... „*Kiej ni mom casu, to ino spozirom na obrozki Jaśka z Gorców a kiej mom cas to spozirom na te obrozki i sie nimi zachwycom!*”.

W 2002 roku Jan Fudala spotkał się w naszej bibliotece z miłośnikami swego talentu, promując swoją kolejną książkę „Gawędziolki o Profesorze Tischnerze”. Wszyscy, którzy mieli okazję spotkać się wtedy z Jaśkiem na pewno nie zapomną tych wzruszających chwil.

I żał, że niestety nigdy Jaśka nie będziemy w Limanowej gościć. **Zginął tragicznie 6 stycznia 2008 r.** w Chabówce, po wcześniejszym odebraniu w Związku Podhalan w Nowym Targu medalu „Zasłużony dla Kultury Gloria Artis”. A później poszedł pobiegać na swoich ukochanych nartach.

I pobiegł do swojego Pana Jezusicka.

Uroczystości pogrzebowe Jana Fudali odbyły się 12 stycznia 2008r. w Kościele św. Marii Magdaleny w Rabce-Zdrój.

Zmarłego tragicznie żegnali: rodzina i około dwóch tysięcy przyjaciół. Kapele góralskie z całego Podhala pod kierunkiem prymisty Jana Karpiela-Bulecki wygrywały głośno a rzewliwie, żegnając jednego z wielkich kreatorów i miłośników kultury góralskiej.

W koncelebrze Mszy Św. Żałobnej uczestniczyli m. in. kapelan Zarządu Głównego Związku Podhalan, kustosz Sanktuarium Maryjnego w Ludźmierzu ks. prałat Tadeusz Juchas oraz proboszcz parafii w Rabce ks.dr Paweł Duźniak.

Wzruszające pożegnalne przemówienie wygłosił gwarą prezes Zarządu Głównego Związku Podhalan Jan Hamarski i burmistrz Rabki-Zdrój Ewa Przybyło.

Pochowano go w „zielonej ubocy” w kwaterze zasłużonych na Starym Cmentarzu przy ul. Orkana w Rabce-Zdrój.

W zielonej ubocy

Kie sie kopyrtne

Ty brodziaty świątku Antoniego

Na gęślach zagros zbójnickiego

Cobyk w niebo skoczył

A wy pochowacie mnie w zielonej ubocy

Na bukowym grobie zapolcie mi watre

Pozdrówkojcie Gorcom, zakurczcie se fajke

I swoim dzieciskom, wnękom

Opowiedzcie w gwarze

Staropolskom bajke.

Wiersz Jana Fudali opublikowany w tomiku „Srybelny miesiacku” (Warszawa 1980).



Wystawa malarstwa na szkle Jana Fudali w Miejskiej Galerii Sztuki w Limanowej.



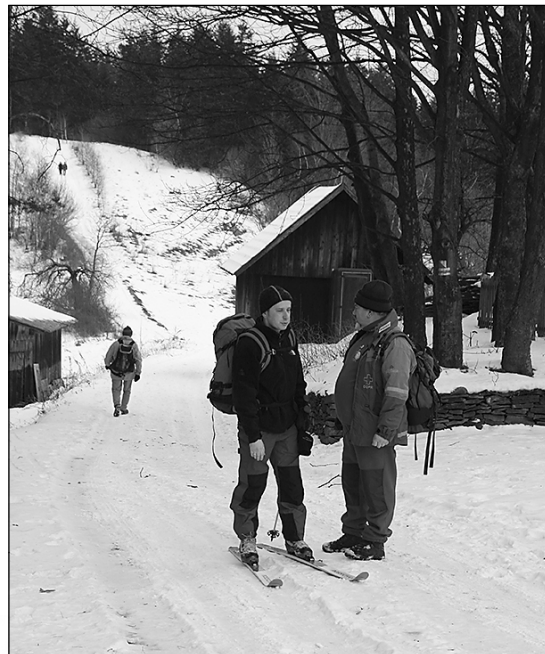
Sylwestrowe spotkanie

W dniu 30 grudnia 2007 r. odbyło się na szczycie Miejskiej Góry 8. już sylwestrowe spotkanie turystów. Sponsorem imprezy jak co roku była firma LIMATUR, obsługę logistyczną zapewniał niezawodny limanowski GOPR.

Na podstawie wydanych znaczków organizatorzy szacują liczbę uczestników na 200 osób. W większości byli to oczywiście mieszkańcy Ziemi Limanowskiej, ale nie zabrakło związanych z naszym regionem różnymi więzami mieszkańców odległych stron – od Jastarni po Słowację. Większość uczestników dotarła na szczyt pieszo, był też, mimo niesprzyjających warunków (mała pokrywa śnieżna) jeden przedstawiciel środowisk narciarskich w pełnym rynsztunku wycieczkowym i jeden cyklista. Atmosfera spotkania przy ognisku była jak zwykle wspaniała, każdy z uczestników niezależnie od wieku, profesji i zainteresowań mógł znaleźć odpowiednie kółko dyskusyjne. Wszyscy obiecywali sobie spotkanie za rok, mniej więcej w tym samym gronie.

Fotoreportaż ze spotkania można znaleźć na stronie internetowej klubu narciarsko-rowerowego DKR www.dkr.ale.pl.

Bartłomiej Sułkowski



Uczestnicy spotkania na Miejskiej Górze. **Powyżej:** Rozmowa z goprowcem.

Fot. J. Cieślik



Stoją od lewej: Piotr Kwandrans - grający trener, Wojciech Hasior, Tomasz Olczyk, Jarosław Włodarczyk, Wojciech Bychawski - asystent trenera, Jakub Dudek, Zbigniew Król, Andrzej Stanisław - kierownik drużyny. Dolny rząd: Piotr Młodziński, Łukasz Kwandrans, Tomasz Boroński, Bartosz Wasilewski, Michał Wojtas, Wojciech Rykała oraz nieobecni na zdjęciu Rafał Szymczyk, Marcin Kurczab, Paweł Przyprawa, Leszek Zając.

Dobry początek

W jesiennych rozgrywkach o wejście do II Ligi Piłki Koszykowej limanowska drużyna MKS Limblach po pierwszej rundzie zasadniczej zajęła pierwsze miejsce, uzyskując 11 punktów, zdobywając 541 punktów, a tracąc 370. Na 7 rozegranych meczów wygrała sześć: z Unią Tarnów (97:60), z TS Wisła II Kraków (101:88), z UKS Siemaszka Piekary (95:72), z MKS Glimar Gorlice (98:50), z KS Cracovia II Kraków (83:63) i z HMS MNLK Niepołomice (105:57). Przegrała jedynie z SKK Basket Kraków (65:82). W drugiej, rozpoczętej już rundzie MKS Limblach wygrał z Unią Tarnów (91:67), z TS Wisła II Kraków (84:60) i z UKS Siemaszka Piekary (88:66). Poszczególne zawodnicy zdobyli następującą ilość punktów – (w nawiasie podajemy sumę zdobytych punktów oraz średnią ilość punktów przypadających na mecz) – *Piotr Kwandrans* (129; 21,50), *Tomasz Olczyk* (105; 17,50), *Wojciech Rykała* (82; 13,67), *Wojciech Bychawski* (81; 13,50), *Łukasz Kwandrans* (41; 6,83), *Jakub Dudek* (37; 6,17), *Jarosław Włodarczyk* (33; 6,60), *Bartosz Wasilewski* (23; 5,75), *Rafał Szymczyk* (13; 3,25), *Wojciech Hasior* (6; 1,20), *Zbigniew Król* (4; 2,0), *Leszek Zając* (4; 2,0), *Tomasz Boroński* (3; 1,5).

Obecny skład drużyny koszykarskiej z Limanowej prezentujemy na zbiorowej fotografii.

Po zakończeniu obu rund zasadniczych 4 pierwsze drużyny w dniach 28-30 marca 2008 r. rozegrają turniej, którego gospodarzem będzie drużyna, która zajmie pierwsze miejsce w tabeli. Do rozgrywek na szczeblu centralnym awansują z tego turnieju dwie pierwsze drużyny do walki o wejście do II Ligi Koszykówki Męskiej. Półfinały odbędą się 11-13 kwietnia 2008 r., zaś finał 26-27 kwietnia 2008 r.

Redakcja „Echa” życzy drużynie MKS Limblach, aby znalazła się w finałowych rozgrywkach o wejście do II Ligi.

Tekst: Stanisław Ociepka
Fotografie: Jakub Toporkiewicz



Tomasz Olczyk w akcji.

► Ruszył wyciąg

Amatorzy białego szaleństwa doczekali się - ruszył wyciąg na Łysej Górze. Malowniczo położony stok znajduje się zaledwie 5 km od Limanowej. W sezonie będzie można zjeżdżać z Łysej Góry po oświetlonych trasach codziennie w godz. 9 – 22.

Wyciągiem krzesełkowym wzniesiemy się 168 metrów do górnej stacji (780 m n.p.m.), skąd można zjechać dwoma trasami: 1000 metrową i znacznie trudniejszą 700 – metrową, przeznaczoną dla zaawansowanych narciarzy.

Podajemy kilka podstawowych parametrów stacji. Długość wyciągu krzesełkowego – 600 m, przepustowość - 2000os./h, różnica wzniesień – 168 m, górna stacja - 780 m n.p.m., dolna stacja - 612 m n.p.m., średnie nachylenie stoku - 29%. Długość tras: 700 m i 1000 m.

Stok rodzinny obsługują 2 wyciągi orczykowe (docelowo 4), długość pierwszego wynosi 300 m, a drugiego 900 m. Przepustowość obu wyciągów wynosi 900 os./h. Różnica wzniesień: 60 m, średnie nachylenie: 25%.

Wszystkie trasy są ratrakowane i dośnieżane. Na miejscu znajduje się serwis i wypożyczalnia sprzętu. Można korzystać z pomocy instruktorów szkoły narciarskiej.

Obok stacji znajduje się parking na 500 samochodów.

Więcej na stronie www.lysagora.eu

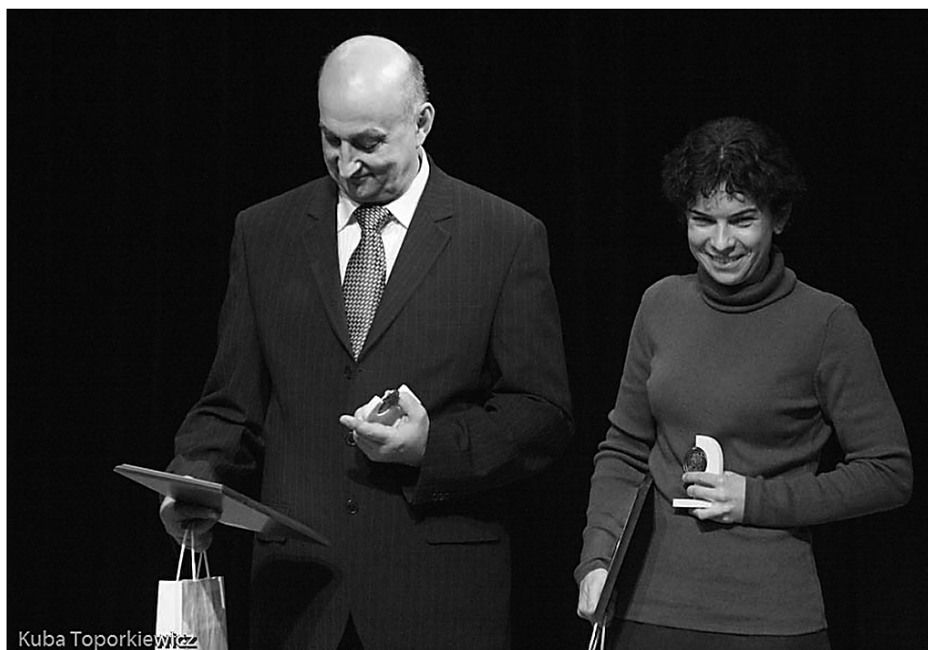


Koncert Noworoczny 2008

Koncert Noworoczny, który odbył się 6 stycznia br. w Limanowskim Domu Kultury stał się doskonałą okazją do wręczenia przyznanych przez Radę Miasta Limanowa odznaczeń wybitnym osobom – autorytetom życia publicznego oraz zasłużonym dla miasta Limanowa. Tytuł „Przyjaciel Miasta Limanowa” za szeroko rozumianą promocję miasta otrzyma-

li prof. Antoni Tajduś – rektor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, dr n. med. Anna Chrapusta-Klimeczek – chirurg plastyczny Oddziału Chirurgii Plastycznej Rekonstrukcji i Oparzeń Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Prokocimiu, Zbigniew Matłag kierownik Sekcji Ruchu Drogowego Komendy Powiatowej Policji w Limanowej.

Koncert Noworoczny stał się również okazją do przekazania podziękowań sponsorom strategicznym, którzy przez cały rok wspierali miejskie inicjatywy. Byli to: Eugeniusz Wojak Firma WOLIMEX, Adam Dudek Bank Spółdzielczy, Stanisław Gagala Fabryka Chemii Gosp. GOLD DROP, Stanisław Bieda i Piotr Lis Zakład Usługowo-Produkcyjny EMITER, Grażyna i Maciej Wojtas Firma „IMPULS”, Ignacy Włodarczyk Firma „LIMBLACH”, Sławomir Kalisz Restauracja „SIWY BRZEG”, Piotr Gurgul Firma Budowlana GURGUL, Tadeusz Kubacki Firma JOWISZ, Maria i Henryk Kurczab Firma HENMEN, Wojciech Gawron Przedsiębiorstwo Komunikacji Samochodowej PASYK & GAWRON, Zbigniew Szubryt Firma SZUBRYT, Mirosław Zoń Firma Transportowa MIROBUS, Józef i Marian Koral Przedsiębiorstwo Produkcji Lodów KORAL, Jakub Tokarz Apteka CENTRUM, Andrzej Pilawski Biuro Turystyczne LIMATUR.



Prof. Antoni Tajduś i dr n. med. Anna Chrapusta-Klimeczek.

Jolanta Szyler

18 stycznia w Limanowskim Domu Kultury miał miejsce wielki finał programu rozwojowego pod tytułem „Blżej mediów”. Program realizowany w I Liceum Ogólnokształcącym w Limanowej był finansowany ze środków EFS i pilotowany przez Fundację Rozwoju Kina w ramach projektu *Multimedi@lna szkoła*. Jego celem było promowanie świadomego i aktywnego uczestnictwa w kulturze oraz życiu społecznym szkoły i miasta. Młodzież działała w czterech kołach: aktorskim, dziennikarskim, językowo-kulturoznawczym i w kole animatorów kultury. Projekt koordynował pedagog szkolny Monika Kapera, przy wsparciu nauczycieli I LO. W czasie wielkiego finału wszystkie koła zaprezentowały efekty swojej pracy. Oprócz tego miał miejsce konkurs talentów dla uczniów limanowskich szkół.

I LO w Limanowej – bliżej mediów

Aktorzy na scenę

Opiekę nad kołem sprawowały nauczycielki: Beata Jonarska i Anna Trojanowska. Młodzież pod ich okiem przygotowała spektakle – wieczór poetycki Edwarda Stachury i oryginalną szopę bożonarodzeniową. Powstaje także spektakl na motywach „Pamiętników Adama i Ewy” Marka Twaina. Z pewnością dużą pomocą były spotkania warsztatowe z aktorką Teresą Dzielską.

- Pod kierunkiem pani Teresy ćwiczyliśmy swoją dykcję, zaufanie do partnera i skupienie, czyli to, co w zawodzie aktora jest niezbędne. Aktorka opowiadała nam o nauce w szkole teatralnej. Przytaczała zabawne epizody z czasów studiów i późniejszej pracy w zawodzie. Osoby myślące o aktorstwie mogły spróbować swoich sił na scenie, miały szansę spotkania i rozmowy z aktorką z dużym doświadczeniem. Myślę, że śmiało mogą brać przykład z pani Teresy, która przecież pochodzi z Limanowej, uczyła się w naszym liceum i tak jak my teraz, zaczynała w grupach teatralnych w naszej miejscowości. Jest to znak, że nigdy nie należy się poddawać i wątpić we własne możliwości. Musimy wierzyć w siebie i z uporem dążyć do celu, a nasza ciężka praca z pewnością zaowocuje – mówi uczestniczka warsztatów Magdalena Trojanowska.

Śmiech w wydaniu profesjonalisty

Specjalnym odłamek koła aktorskiego były warsztaty kabaretowe prowadzone przez lidera kabaretu „Pod Wywigraszem” Łukasza Rybarskiego. Pod jego czujnym okiem młodzi kabareciarze stworzyli mini kabaret o zjeździe absolwentów „Orkana”.



Ośmiuosobowa grupa uczniów pod opieką pedagoga Moniki Kapery i nauczycielki Jolanty Bugajskiej wyjechała do Zwierzyńca na Letnią Akademię Filmową.

- Szczerze? Na pierwszym spotkaniu byliśmy w takim szoku, że nie mogliśmy nic powiedzieć. Lecz jednego byłam pewna: praca w grupie kabaretowej będzie się znacznie różniła od prób w teatrze, z którymi miałam wielokrotnie do czynienia... – wyznaje Natalia Brajner.

- Jedno trzeba panu Rybarskiemu na wstępie przyznać: jest urodzonym reżyserem. Na podstawie szczątków naszych pomysłów pomógł nam w ogromnym stopniu zbudować dobry scenariusz. Niestety na próby nie mieliśmy dużo czasu, ponieważ pan Rybarski też musiał pracować, a my uczyć się... Każdy z nas spędził jednak kilka godzin z panem reżyserem, aby przeanalizować każde słówko, zdanie i kwestię. Było to męczące i wy-

magające dużo cierpliwości i siły, nie tylko z naszej strony, ale przede wszystkim ze strony pana Rybarskiego. Efekty zależały od chęci, zdolności i pojętności aktorów. Ale nie myślcie, że nasze warsztaty kabaretowe wyglądały jak praca w zakładzie pogrzebowym! Mimo tego, że ciężko pracowaliśmy, było wesoło. Dowiedzieliśmy się, że pan Rybarski chodził do naszego liceum, a jego ulubioną salą jest 18- sala polonistyczna... Że do szkoły aktorskiej dostał się przez przypadek i to dzięki profesorce od polskiego! I wiele innych rzeczy, ale jednego można być pewnym: w szkole nie był aniołem (i wcale z tego nie wyrósł!) – relacjonuje Natalia.



► Dziennikarskie szlify

Opiekę nad kołem sprawowały nauczycielki: Jolanta Bugajska i Marta Zięba. W ramach spotkań warsztatowych młodzi adepci dziennikarstwa poznawali zasady pisania reportażu, felietonu, informacji, wywiadu. Uczyli się, jak zapisywać i składać tekst. Efektem ich pracy są kolejne numery szkolnej gazetki „c.d.n.”. Kilka tekstów publikowało też „Echo limanowskie” na „Stronie młodych”.

- Mieliliśmy okazję brać udział w warsztatach, częściej organizować spotkania redakcyjne, doskonalić swoje umiejętności w pisaniu i redagowaniu tekstów. Praca nad wydawaniem szkolnej gazetki stała się łatwiejsza i atrakcyjniejsza. Dostępność zakupionego aparatu fotograficznego, dykta-

fonu czy drukarki kolorowej usprawnia pracę i nadaje jej bardziej profesjonalny wymiar. Dzięki temu zdjęcia drukowane w gazetce o kolorowej okładce są dużo lepszej jakości – ocenia Ola Wielek.

Członkowie koła dziennikarskiego brali też udział w warsztatach fotograficznych prowadzonych przez dziennikarza, fotografa Kubę Toporkiewicza. Spotkania obejmowały nie tylko przekazywanie niezbędnej wiedzy teoretycznej, ale też zajęcia w plenerze i ćwiczenia w obróbce zdjęć. Cennym doświadczeniem dla młodych dziennikarzy było także spotkanie z Januszem Sejmejem.

- Wprowadził nas - młodych adeptów - w arkana dziennikarskiego zawodu i świata, w którym człowiek wykonujący ten zawód musi umieć się poruszać – mówi Ola.

W czasie koncertu finałowego w LDK były rozdawane bezpłatne numery „c.d.n.”. Ważnym punktem programu było ogłoszenie wyników I Powiatowego Konkursu Gazetek Szkolnych organizowanego przez I LO i Starostwo Powiatowe. W komisji konkursowej zasiadali: Jerzy Bogacz – redaktor naczelny „Almanachu Ziemi Limanowskiej”, Kuba Toporkiewicz z „Dziennika Polskiego”, Justyna Tokarczyk z Wydziału Promocji Starostwa Powiatowego oraz Ewa Drożdż – redaktor naczelna gazetki szkolnej „c.d.n.”. Jury przyznało I nagrodę gazetce „Tropiciele” z Publicznego Gimnazjum w Jurkowie, II otrzymała gazetka „Biblio-Expres” z Gimnazjum w Dobrej, a III – „Merkuliusz Szkolny” z ZS nr 1 w Męcinie. Zwycięzcy otrzymali z rąk starosty





Jana Puchały urządzenie wielofunkcyjne – z drukarką, skanerem i kopiarką. Bardzo miłą niespodzianką było podarowanie przez starostę takiego samego, niezbędnego w pracy redakcji sprzętu, gazetce z ILO „c.d.n.”, która jako organizator nie brała udziału w konkursie.

Angielski jest łatwy

W ramach projektu powstało także koło języka angielskiego, prowadzone przez nauczycielkę Anetę Kulig. Głównym celem zajęć było poszerzenie wiedzy z zakresu kultury, geografii i historii Wielkiej Brytanii. Zajęcia skierowane były do uczniów, którzy chcą wiedzieć o języku angielskim coś więcej niż tylko to, jak opanować czasy gramatyczne. Spotka-

nia w ramach kółka językowego pozwoliły spojrzeć na naukę języka z zupełnie innej perspektywy. Osoby uczestniczące w zajęciach mogły poznać wiele ciekawostek na temat gwiazd show-biznesu, czy po prostu przełamać stereotypy o Anglikach. Warsztaty prowadzone były przy użyciu różnych środków multimedialnych. Dzięki interesującym filmom można było choć na chwilę „przenieść się” do Anglii, Szkocji, Walii lub Irlandii, zobaczyć najpiękniejsze zakątki i poznać zwyczaje panujące w tych krajach.

- Myślę, że zajęcia z kulturoznawstwa brytyjskiego były nie tylko świetną okazją do poszerzenia wiedzy na temat Wielkiej Brytanii, ale dodatkowo pozwoliły wszystkim uczestnikom rozwinąć zdolności językowe – mówi jedna z uczestniczek.

Zwierzynieckie klimaty

W minione wakacje ośmioosobowa grupa uczniów pod opieką pedagoga Moniki Kapery i nauczycielki Jolanty Bugajskiej wyjechała do Zwierzynca na Letnią Akademię Filmową.

- W Zwierzyncu na kinomanów czekał repertuar ok. 330 filmów. Motywem przewodnim LAF-u była twórczość Carlosa Saury - wybitnego, hiszpańskiego reżysera (pewnie drugiego po Almodowarze). Wychodząc z seansów wszyscy wymieniali się spostrzeżeniami z uczy kina. Przez trzy dni naszej akredytacji na LAF-ie niektórzy z nas zdołali obejrzeć nawet 18 filmów. Niekiedy brakowało czasu na przejście z jednego kina do drugiego, nie mówiąc już o posiłkach, które serwowano, o której godzinie chcieliśmy, a i tak raz po prostu nie poszliśmy na obiad na rzecz jakiegoś intrygującego filmu. W Zwierzyncu w trakcie trwania Akademii Filmowej odbywały się imprezy towarzyszące: koncerty, przedstawienia teatralne, spotkania z aktorami i reżyserami. W wolnych chwilach zwiedziliśmy Zwierzyniec (na tyle, na ile pozwalały odstępy czasowe między seansami). Czas upłynął szybko, jak to w wakacje, i ze Zwierzynca pozostaną niezapomniane wrażenia. Wspaniałe miejsce, wspaniali ludzie, więc i wspaniałe wspomnienia – opowiada Ewa Drożdż.

Uczniowie w trakcie roku szkolnego bezpłatnie wyjeżdżali też na spektakle teatralne do Krakowa. Obejrzeli sztuki „Meydey”, „Meydey II”, „Wszystko o kobietach” i „Aj waj”. Właściwie po każdym spektaklu można było wystawić cenzurkę, którą napisała Natalia Brajner po sztuce „Aj waj”:

- Naprawdę warto było pojechać i obejrzeć tę sztukę. Jest wspaniała! Choć... Ma jedną wadę: trwa jedynie 100 minut!!! To stanowczo za mało jak na tak wspaniały spektakl...

Co dał projekt?

Na realizację projektu pozyskano 30 tys. zł. Dzięki niemu młodzież I LO miała okazję współpracować z ludźmi mediów i sztuki, być bliżej kultury przez duże „K”, wreszcie sprawdzić się w różnych zawodach.

- Jesteśmy bardziej śmiali, przedsiębiorczy, aktywni, wykształceni. Wiemy, że nasze marzenia muszą się spełnić – twierdzi Justyna Skrzekut.

- Żałujemy tylko jednego, że to trwało tak krótko – podsumowuje Agnieszka Znój.

Tekst i fotografie: Jolanta Bugajska





WIADOMOŚCI ZE STAROSTWA

Coraz bliżej celu

W dniu 4 stycznia, po rocznych staraniach starosta limanowskiego Jana Puchały, udało się pozyskać 1,25 ha gruntów wraz z odwiertem solanek geotermalnych pod budowę kompleksów geotermalnych. Na dzień dzisiejszy starosta limanowski działający w imieniu i na rzecz Skarbu Państwa, przejął od Gorczańskiego Parku Narodowego te grunty i wniesie je aportem do spółki Gorczańskie Wody Geotermalne. Kolejnym etapem będzie wybór odpowiedniego inwestora strategicznego, który zajmie się budową kompleksu basenów geotermalnych. Ważną kwestią, o której należy wspomnieć jest fakt, iż mimo usilnych trzydziestoletnich starań przedstawicieli gminy i dziesięcioletnich starań poprzedniej dyrekcji Gorczańskiego Parku Narodowego nie udało się tego dokonać. Obecnie dzięki osobistemu zaangażowaniu Jana Puchały starosty limanowskiego i dyrektora Gorczańskiego Parku Narodowego Janusza Tomaszewicza udało się te grunty pozyskać, a tym samym zakończyć jeden z ważniejszych etapów w realizacji tej inwestycji.

Dwaj mali dżentelmeni

U progu nowego roku starostowie Jan Puchała i Franciszek Dziedzina oraz dyrektor szpitala powiatowego wybrali się z upominkami do pierwszego w tym roku nowego mieszkańca powiatu limanowskiego. Łukasz Plata, bo o nim mowa, nie śpieszył się zbyt na szampa i sztuczne ognie. Zawitał na ten świat o godzinie 16⁰⁰ w Nowy Rok. Zarówno mama - przyszwianka, jak i maluch czują się dobrze i w doborowym towarzystwie czekają na powrót do domu. Towarzystwo jest szczególne, bo po są-



siedzku na powrót do domu oczekuje inny szczególny maluch - Kacper Lizak reprezentujący Pogorzany, który jako ostatni w starym roku dołączył do mieszkańców powiatu limanowskiego. Mali panowie i ich mamy odebrali z rąk starostów upominki, a także moc życzeń, do których zapewne my wszyscy chętnie się dołączymy.

Mali kołędnicy



Jak co roku, tak i w ten wyjątkowy czas noworoczny, do Starostwa Powiatowego w Limanowej przybywają grupy kołędników. Tym razem ze śpiewem na ustach przybyła grupa z Zespołu Szkół Samorządowych Nr 3 w Limanowej. Mali przebierańcy na ręce władarzy powiatu Jana Puchały starosty limanow-

skiego i Franciszka Dziedziny wicestarosty limanowskiego, złożyli życzenia dla wszystkich mieszkańców powiatu oraz pracowników urzędu. W odświeżającym spotkaniu uczestniczył również Bronisław Dutka poseł na Sejm, Bolesław Żaba członek Zarządu Powiatu Limanowskiego, Andrzej Matłaga sekretarz

powiatu, a także wielu dyrektorów wydziałów w Starostwie Powiatowym w Limanowej. Wizyta kołędników była ogromną atrakcją dla wszystkich, a mali kołędnicy, jak tradycja nakazuje, zostali nagrodzeni słodkimi łakociami.

Jednomyślna Rada



Kolejna Sesja Rady Powiatu Limanowskiego, która się odbyła 28 grudnia, przebiegała w świątecznej w atmosferze jednomyślności. Podczas sesji zaprzysiężony został na radnego powiatu limanowskiego Mieczysław Uryga, który zastąpił Wiesława Janczyka, obecnego posła na Sejm, który w ostatnich wyborach parlamentarnych zdobył mandat poselski.

W toku obrad obecni na sesji radni, jednomyślnie zagłosowali nad szeregiem uchwał, m.in. w sprawie zmian w uchwale budżetowej na rok 2007, w sprawie ustalenia wydatków niewygasających za rok 2007, w sprawie trybu udzielania i rozliczania dotacji dla szkół i placówek niepublicznych, itd. Imponującym i absolutnym sukcesem obecnego Zarządu i Rady Powiatu było jednomyślne przyjęcie uchwały budżetowej na 2008 rok.

W uroczystej sesji uczestniczyło wielu wspaniałych gości, którzy w swoich przemówieniach dziękowali zarówno Radzie Powiatu, jak i staroście za wzorową współpracę.

Jako pierwszy głos zabrał Marek Czeczotka, który pomimo tego, iż równocześnie w Urzędzie Miasta Limanowa trwała Sesja Rady Miasta, przybył, by

podziękować za tak wspaniałą ubiegłoroczną współpracę, życząc wytrwałości i zdrowia na kolejny rok.

Następnie głos zabrał poseł na Sejm Bronisław Dutka, który złożył wszystkim serdeczne życzenia z okazji zbliżającego się Nowego Roku 2008, a także dziękował i gratulował wzorowej współpracy z samorządami w mijającym roku. Życzył jednocześnie wszystkim, by ko-

ogromną wdzięczność za dotychczasowe znakomite współdziałanie z Radą Powiatu i obecnym starostą.

Na zakończenie zarówno przewodniczący Rady Powiatu Jacenty Musiał i starosta limanowski Jan Puchała podziękowali wszystkim zgromadzonym i wyrazili swoje ogromne zadowolenie z wzorowej współpracy z wszystkimi samorządami i osobami zaangażowanymi w sprawę naszego powiatu.

Konferencja samorządowa

W Starostwie Powiatowym w Limanowej odbyła się I Konferencja Samorządowa Powiatu Limanowskiego. Organizatorami tej konferencji byli Bronisław Dutka poseł na Sejm, Wojciech Kozak członek Zarządu Województwa Małopolskiego, a także starosta limanowski, w imieniu którego konferencji przewodniczył Franciszek Dziedzina wicestarosta limanowski. Wśród zaproszonych gości byli między innymi wójtowie, burmistrzowie, a także sołtysi powiatu limanowskiego. Konferencję rozpoczął Franciszek Dziedzina wicestarosta limanowski, który witając gości wyjaśnił, iż celem organizacji tej konferencji było między innymi sprecyzowanie zagadnień dotyczących programów regionalnych, takich jak: Małopolski Regionalny Program Operacyjny na lata 2007-2013, zwany - programem regionalnej szansy, czy Program Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013. Marcin Wójtowicz dyrektor Regionalnego Oddziału Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Krakowie, przedstawił możliwości pozyskania środków finansowych, z jakich mogą skorzystać rolnicy z terenów Małopolski. Dyskutowano także na temat problemów związanych z pozyskiwaniem środków unijnych, a także omówiono szereg zaleceń mających na celu podniesienie efektywności składanych wniosków.

Informacje ze starostwa przygotowała:
Justyna Tokarczyk

lejny rok był jeszcze lepszy od poprzedniego. W trakcie wystąpienia, zapewnił również o tym, iż pozostaje do dyspozycji zarówno rady, jak i mieszkańców powiatu. Również poseł Wiesław Janczyk życzył by posługa społeczna została doceniona przez mieszkańców całego powiatu, a także dalszych sukcesów w nadchodzącym Nowym Roku 2008. Podziękował także za poparcie, jakiego udzielił mu Zarząd Powiatu ze starostą Janem Puchałą, w ostatnich wyborach parlamentarnych.

Również radni Sejmiku Województwa Małopolskiego Urszula Nowogórska i Stanisław Dębski zabierali kolejno głos, składając życzenia noworoczne i dziękując jednocześnie za dotychczasową współpracę. Odczuwam ogromną radość na myśl o poprzednim roku, o tym wzorowym współdziałaniu Rady Powiatu z nami. Cieszę się, że wspólnie możemy podejmować się działań i inicjatyw, które okażą się owocne i przyniosą korzyści dla wszystkich mieszkańców naszego powiatu – mówiła radna sejmiku.

Również wójt Gminy Laskowa Stanisława Niebyska i wójt Gminy Limanowa Władysław Pazdan wyrazili swoją

Znalazł swoje miejsce za kamerą

- rozmowa z Januszem Sejmejem

Pochodzi z Limanowej. W czasach licealnych był zastępcą przewodniczącego szkoły, ale nie należał do najpokorniejszych. Potem wybrał pedagogikę i ... trafił do radia, a stamtąd do Telewizji Kraków. Później „poszedł w kierowniki”. Media elektroniczne nie mają przed nim tajemnic. Teraz odpowiada za tworzenie TVP Parlament. Aby się odstresować ... kibicuje Wiśle Kraków.

- Jakim był Pan chłopcem? Spokojnym, ułożonym, czy rozrabiaką?

- Myślę, że rozrabiaką. Staralem się trzymać jakiś poziom, ale generalnie wyważonym rozrabiaką.

- Skąd zatem pomysł na studiowanie pedagogiki?

- Byłem w grupie tych osób, które nie miały dokładnie sprecyzowanych planów życiowych. Znajomi mówili mi, że to fajny kierunek, nie trzeba się tak bardzo uczyć, można spokojnie studiować. Stąd ten raczej przypadkowy wybór. Nigdy nie byłem czynnym nauczycielem, ale później pedagogika bardzo mi się przydała, zapewniła mi ogólnohumanistyczny rozwój.

- A jak Pan trafił do radia?

- To znów dzieło przypadku. Pamiętam jak dziś, po dostaniu się na studia w grudniu poszedłem odwiedzić kolegę w studenckim radiu „Brzęczek” i zostałem. ... A potem było Polskie Radio, Radio Mariackie i Telewizja Polska.

- Nie było Panu trudno przestawić się z radia na telewizję? Tam wymagania są przecież inne.

- Wymaganie są inne, bo dochodzi wizja, ale jeśli chodzi o dźwięk, wypowiedzi, i w radiu, i w telewizji są takie same: tak samo montowane, eksponowane, wykorzystywane. Ktoś powiedział, że dziennikarstwo telewizyjne to troszkę nowocześniejsza forma dziennikarstwa radiowego. To prawda. Gdy ktoś opanował rzemiosło radiowe, w telewizji jest mu dużo łatwiej.

- Nigdy nie ciągnęło Pana do dziennikarstwa prasowego?



Janusz Sejmej w czasie spotkania z młodzieżą I LO w Limanowej.

- Nie! Jak przypomnę sobie swoje wypracowania, to myślę, że moje teksty byłyby trudne do zrozumienia. To sztuka umieć dobrze pisać. Ja od początku trafiłem do mediów elektronicznych, najpierw do radia, później do telewizji i jakoś nigdy epizodu prasowego w moim życiu nie było. Jeszcze nie było...

- Pana koledzy z Telewizji Kraków twierdzą, że pokazał Pan, że programy informacyjne mogą być ciekawe i mogą mieć jakieś tempo.

- Programy informacyjne zawsze mogą być ciekawe, to zależy jak się do tego podchodzi. Na pewno nie mogą być nudne, sztamkowe, nie mogą pokazywać wszystkiego zza ministerialnych czy dyrektorskich biur. Jeżeli poszuka się tematów, to da się zrobić ciekawy program, trzeba tylko wyjść poza Kraków, Warszawę.

- Relacjonował Pan wizyty papieża Jana Pawła II w Polsce. Da się tego rodzaju transmisje robić bez emocji?

- Nie, w przypadku Ojca św. nic nie dało się robić bez emocji. To są takie chwile, które będzie się wspominać przez całe życie. Ja od 1996 do 2002 r. pracowa-

łem przy wszystkich pielgrzymkach papieża, nie tylko do Krakowa, ale też Zakopanego, Starego Sącza, czy Wadowic. Tych chwil nie da się bez emocji ani wspominać, ani nie dało się do nich bez emocji przygotowywać. Myśmy żyli tymi pielgrzymkami na pół roku wcześniej. To były wielkie chwile, każdy z nas je pamięta i będzie pamiętać. A że przy okazji była wtedy gigantyczna oglądalność, to był ten dodatkowy dreszcz emocji, zawsze mobilizujący. Ja powtarzałem tym, którzy pytali jak się te transmisje robiło, że robiło się je normalnie. Głównym punktem spotkania był Ojciec Św., a nie my. My staraliśmy się nie przeszkadzać, albo jak najmądrzej, jak najbardziej dokładnie opowiadać co się dzieje przed przyjazdem na Błonia, co się dzieje w trakcie i gdzie papież udaje się po spotkaniu. To była gigantyczna porcja emocji i bezwzględnie wspomnienia na całe życie.

- Nie żałuje Pan, że „poszedł w kierowniki”?

- To się stało przypadkiem. Kiedyś kierowałem krakowską Kroniką i prowadziłem programy. Tak się złożyło, że w pewnym niezauważalnym dla mnie momen-

cie, tych czynności kierowniczych przybywało. Patrząc teraz na młodych ludzi prowadzących programy, nie żałuję. To ważne, żeby znaleźć swoje miejsce. Mnie jest po prostu lepiej za kamerą niż przed kamerą. Wykorzystuję takie możliwości.

- Teraz czeka Pana najtrudniejsze zadanie - stworzenie Telewizji Parlament. To też da się ciekawie pokazać? Podejrzewam, że reakcja odbiorców będzie jedna: nudny - obrady sejmowe.

- W tej chwili obrady parlamentu transmitowane są w dniach obrad Sejmu, czyli średnio sześć dni w miesiącu, w TVP Info (dawniej programie trzecim). W skali kraju ogląda je nawet jeden procent widzów, czyli około 370 tys. To bardzo dużo, w momencie kiedy oglądalność programu trzeciego wynosi 5-6 procent. To oznacza, że zainteresowanie tą tematyką jest. A w chwili, kiedy dzieją się rzeczy politycznie ważne: zmiana rządu, wybory, ta oglądalność wzrasta nawet do 10-15 procent. Jest zatem zapotrzebowanie na taką telewizję. Przykład amerykański – sieć C-SPAN pokazuje, że nie dość, że ludzie oglądają obrady izb amerykańskich, to właściciele stacji – w tej chwili trzech kanałów, jeszcze na tym zarabiają. Przykład brytyjski też jest ważny. BBC Parlament jest emitowana naziemnie i cieszy się sporym zainteresowaniem, jest ciekawa z punktu widzenia widza. Dziś powstaje coraz więcej takich niszowych kanałów telewizyjnych, które w porównaniu z Jedynką, Dwójką, TVN czy Polsatem będą miały znikomą oglądalność, ale ludzie coraz częściej szukają czegoś zupełnie innego niż główne anteny, stąd konieczność tworzenia, nie tylko w telewizji komercyjnej ale też publicznej, tego rodzaju kanałów.

- Telewizja Parlament będzie patetyczna, poważna, nudna?

- Nasi posłowie rzeczywiście przed kamerami zachowują się troszkę inaczej, przemawiają bardziej patetycznie. Ja chciałbym w tej telewizji pokazywać nie tylko obrady Sejmu i Senatu, ale przede wszystkim wyjaśniać odbiorcom, co oznacza przyjęta ustawa, co znaczy weto do ustawy. Ta telewizja będzie w dużym stopniu tłumaczyć, do czego uchwalane prawo nam służy.

- Proszę pocieszyć młodych dziennikarzy i powiedzieć, że miał Pan jakieś wpadki.

- Z takich największych wpadek, pamiętam taki konkurs w Radiu Kraków. Słuchacze mieli odgadnąć, o jakim zespole jest mowa. Zespół nazywał się bodajże Bee Gees. Siedziałem przy mikrofonie. Tak za sześćdziesiątym razem, gdy odebrałem telefon, ktoś powiedział Bee Gees, a ja, patrząc na płytę zespołu, powiedziałem: nie. Nie wiem, jakim cudem z tego wybrnęliśmy. Innym razem zapomniałem imienia i nazwiska kolegi, który realizował program po drugiej stronie szyby, a znałem go od 10 lat. Wcześniej słyszałem opowieści o słynnych wpadkach radiowych. Widziałem, jak znakomici radiowi prezenterzy pisali sobie na kartce, jak się nazywają i jaki program prowadzą. Przekonałem się, że takie zapomnienie może się zdarzyć.

- Ma Pan sposób na odstersowanie?

- Wycieczki, narty i piłka nożna. I bynajmniej nie mówię tego dlatego, że nasz obecny premier gra w piłkę nożną. Staram się raz na jakiś czas zajrzeć na halę i najnormalniej w świecie pograć w piłkę. A poza tym jak tylko jest okazja staram się być na meczach. Kibicuję Wiśle Kraków. Wierzę, że wróci do formy. Kiedyś nawet pojechałem za Wisłą Kraków do Niemiec i do Rzymu. Z Schalke Wisła wygrała, z Lazio zremisowała. Były to chwile chwały futbolu polskiego. Wierzę, że jeszcze takich chwil doczekamy.

- Na koniec jeszcze pytanie, z gatunku filozoficznych. Często mówi Pan o przypadku, (przypadkowo wybrał Pan kierunek studiów, przypadkowo trafił Pan do radia), wierzy Pan, że naszym życiem kierują przypadki? A może przeznaczenie? A może człowiek sam, choć nie zawsze świadomie, steruje swoim losem?

- Nie mam zielonego pojęcia, jak jest naprawdę. Choć, skoro tych przypadków jest wokół nas sporo, to coś w tym musi być. Nie wiem, może to przeznaczenie, może nasze losy są gdzieś już zapisane i toczą się wg ustalonych schematów. To rzeczywiście pytanie filozoficzne i prędkiej na nie odpowie np. prof. Ryszard Legutko, świetny filozof i naukowiec, choć niepotrzebnie ostatnio parający się polityką. Jedno jest pewne, ktoś nad nami czuwa, inna sprawa czy zawsze tak, jak byśmy chcieli. Ale to już zupełnie inna historia.

Tekst i fotografie: Jolanta Bugajska



Janusz Sejmej ur. się w 1968 r. Absolwent I LO w Limanowej. Studiował w Wyższej Szkole Pedagogicznej (obecnie AP) w Krakowie oraz na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Karierę zaczynał w radiu studenckim, potem pracował w Radiu Kraków i Radiu Mariackim. Od 1994 r. związany z oddziałem Telewizji Polskiej w Krakowie, był między innymi współprowadzącym program „Młodzież kontra, czyli pod ostrzałem”. Od listopada 2001 r. był kierownikiem Wydziału Programów Informacyjnych współodpowiedzialnym za program informacyjny „Kronika”, który w 2002 r. otrzymał nagrodę za najlepszy program informacyjny od miesięcznika PRESS. Od września 2004 r. kierownik redakcji „Kurier” TVP 3, później kierownik redakcji „Panoramy” TVP2, zastępca dyrektora Agencji Informacyjnej ds. pasma wspólnego oddziałów terenowych TVP odpowiedzialny za przekształcenie regionalnej Trójki w kanał TVP Info. Obecnie odpowiada za uruchomienie nowego kanału tematycznego telewizji publicznej – TVP Parlament. Jest żonaty, mieszka w Krakowie.

Człowiek przestrzeni

W dzieciństwie dokonywał pierwszych prób lotniczych, skacząc z szafy na łóżko. Raz źle wylądował. Bliznę na nodze ma do dziś. Dusza podróżnika także się odzywała. Gdy miał 7 lat zabrał kuzyna na wycieczkę krajoznawczą. Idąc torami, dotarli z Limanowej do Łososiny Górnej, gdzie mieszkała ich babcia. Rodzice wypominali mu tę wyprawę przez długie lata. Kim jest? Podróżnikiem, fotografem, filmowcem, lotnikiem, mężem, ojcem... O sobie mówi: - Jestem człowiekiem przestrzeni. Najgorszą dla mnie karą jest bezczynne zamknięcie w czterech ścianach. Marek Dudek ma 42 lata, marzy, by resztę życia spędzić jeżdżąc po świecie i filmując.



Na szczycie Mogielicy z nauczycielem języka niemieckiego Janem Brajnerem (pierwszy z lewej). Marek Dudek siedzi pierwszy z prawej - lata 70-te.

Inicjacja

W latach szkolnych pasję chodzenia zaszczerpił w nim nauczyciel języka niemieckiego Jan Brajner. Klasową ekipą od wiosny do jesieni co niedziela chodzili po Beskidach. Potem była szkoła średnia i obowiązkowo udział w Rajdach Węgrzynowicza. W czasie studiów wyruszył na pierwsze wyjazdy zarobkowe do, jak wtedy mówiono, „dzikiej Europy”. Zobaczył, że może istnieć inny świat. Aż wreszcie nadszedł czas na poważną podróż. W jego akademiku mieszkał Mounir z Maroka. W Polsce był od pięciu lat, więc nabierało mu się trochę rzeczy. Po skończonych studiach chciał wszystko zabrać do rodzinnego domu. Całego dobytku w samolocie przewieźć nie mógł. Koledzy wpadli na pomysł zorganizowania pomocy. Zapakowali rzeczy Mounira do samochodu – późnosocjalistycznego karawanu z częścią sypialną - i ruszyli. Do przebycia mieli 10 tys. kilometrów. Z Krakowa przez Giblartar dotarli do Maroka, wracali przez Saharę, Algierię, Tunezję i

Włochy. W drodze powrotnej nie mieli już nic. Żywili się płatkami kukurydzianymi: rano płatki z dżemem, na obiad płatki z dżemem i na kolację... płatki z dżemem. Wcześniej zakosztowali wykwintniejszej potrawy – w Maroku na wyścięgi pochłonęli całą miskę ślimaków.

To była wyprawa inicjacyjna. A później się zaczęło na dobre. Wyprawa wzdłuż Nilu, Kenia, Tanzania z wejściem na Kilimandżaro, północna Norwegia, Spitsbergen, Trans Kanada z wybrzeża St. Johnes do Vancouver, Indonezja i „miejska dżungla” Hongkong.

- Nagle przyszedł czas, gdy uświadomiłem sobie, że przybywa mi lat. Za kilka lat będę nadal mógł jeździć na wyprawę, ale gorzej będzie z chodzeniem po górach – wspomina.

Zaczął się więc okres górsko-alpejski.

Okres górsko-alpejski

Co roku odbywa jedną wyprawę w Alpy lub inne góry. Zdobył 35 szczytów powyżej 4 tys. metrów. Do zaliczenia wszystkich alpejskich szczytów powy-

żej 4 tys. brakuje mu jeszcze piętnastu. Mówi, że na to potrzeba około trzech lat.

Co czuje zdobywając kolejną górę?

- Zmęczenie – uśmiecha się.

A strach? Obawę, że nie wróci?

- Strach jest naturalnym, zdrowym objawem świadomości. Jeśli przychodzi taki moment, że zaczynasz być chojrakiem, to pierwszy znak, że coś jest nie tak. Jeśli się z kimś zwiążesz liną i ten ktoś się poślizgnie, to jest duża szansa, że polecisz z nim. Góry są surowo prawdziwe, nie mają litości. Bezpieczeństwo zależy od tego, z kim idziesz, gdzie idziesz i czy wiesz, kiedy należy zawrócić – dodaje.

Mówi, że w wysokich górach, powyżej 4 tys. metrów, zaczynają się problemy z ludzką psychiką. Z racji tego, że jest zimno, spada poziom tlenu w powietrzu, nie można jeść tego co się chce, nie można się umyć, człowiek staje się nadpobudliwy. Czasem przesunięcie komuś kubka z wodą może doprowadzić do awantury.

- Góry uczą dystansu do rzeczywistości. Budują przyjaźnie, ale też potrafią je na trwałe zerwać – stwierdza.

Były momenty, kiedy obiecywał sobie, że to już ostatni raz, ostatnia wyprawa. A jednak góry wciągają jak nałóg.

- Z każdej wyprawy wracam z naładowanymi do życia akumulatorami – wyjaśnia.

Z każdej wyprawy wraca też 4-6 kg chudszy. Na górę wnosi się przecież 10-15 kilogramowy plecak, a przy tym je się inaczej niż zwykle. Wreszcie z każdej podróży wraca z mnóstwem slajdów i filmów.



Powyżej: Sam na sam - Alpy.
Obok: Lodospd „Oczy pełne lodu”
wspina się „Ryba”.
Poniżej: Miasteczko.

Utrwalone na kliszy Fotografia to jego kolejna pasja

- Podróżowanie bez dokumentowania nie ma sensu – zastrzega.

Swoim hobby może dzielić się z innymi, robiąc prelekcje i pokazy slajdów. To oferta bezpiecznego podróżowania dla wszystkich. Jego słuchaczami często są świetnie przygotowane teoretycznie starsze osoby, które chciały podróżować, ale nie pozwoliły im na to warunki.

Teraz pasję fotografowania zmienia na pasję filmowania. Właśnie robi dwunastoodcinkowy serial o Alpach: o świecie zwierząt, ekstremalnych wspinaczkach, kolejkach liniowych i zębatych, życiu rolników wysokogórskich, lodowcach. Jeden z filmów Marka Dudka był prezentowany w tym roku na Spotkaniach z Filmem Górskim w Zakopanem. To duże wyróżnienie. Film został wybrany spośród 20 polskich ekranizacji i był jednym z czterech reprezentujących nasz kraj. Na kolejny konkurs stworzył film pt. Mat. W slangu górskim MAT to Matterhorn. Przedstawia w nim życie jako grę w szachy i życie jako wspinaczkę. W pewnej chwili bohaterów spotyka sytuacja matowa – nie da się iść do góry ani zejść na dół. W kadrze pojawia się ręka, która wyrzuca pionek. Film ten został pokazany na V Festiwalu Filmów Górskich w Krakowie - trochę jako przestroga, a trochę jako odniesienie się autora do nowej epoki jaka pojawia się w górach - wejścia na czas. W tym roku na Matterhorn zginęło pięciu Polaków.



Na skrzydłach

Trzecią jego pasją jest latanie. W czasach szkoły średniej na zajęciach pojawił się prelegent – lotnik, który zachęcał młodzież do wstępowania w szeregi polskiej armii. Marek, zainspirowany opowieściami, pojechał do Areoklubu Podhalańskiego. Jego mama wzdychała z ulgą, bo na szczęście nic z tego nie wyszło. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Na studiach zaczął latać na lotniach i motolotniach. Został nawet prezesem Akademickiego Klubu Lotniowego. Latał w Beskidzie Żywieckim, ale pojawiał się ze swoją lotnią także na pobliskim Łopieniu. Niektórzy na jego widok zęgnali się pobożnie.

- Były to wyrafinowane formy samobójstwa – ocenia teraz.

- Latanie nie ma nic wspólnego z romantyzmem. Trzeba się niesamowicie kontrolować – dodaje.

Przesiadł się do samolotu. Latając ze znajomymi, chętnie ogląda świat z góry.

Ciekawe życie

Jak jego niecodzienne pasje znosi rodzina? Mama nieraz z politowaniem kiwa głową, mawiając: - Masz co jeść, masz gdzie spać, po co tam jedziesz. A on nie może wysiedzieć na miejscu, zamknięty w czterech ścianach. Po powrocie z jednej wyprawy już planuje na-

stępną. Żona Kasia chodzi po Alpach z mężem. Kilkumiesięczny synek Dominik już zaczyna kochać góry. Na razie na barkach rodziców zdobywa okoliczne szczyty, nawet kilkakrotnie zaliczył Mogielicę.

- Jesteśmy mocno niezależni. Katarzynka rozumie, że gdybym gdzieś nie pojechał, to byłbym nieszczęśliwy. Nadrabiam to tym, że dzięki mnie żona ma ciekawe życie.

On też.

**Tekst: Jolanta Bugajska
Fotografie z archiwum
Marka Dudka**



Marek Dudek urodził się w 1965 r. w Limanowej. Ukończył Liceum Zawodowe Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych oraz studia na Akademii Rolniczej w Krakowie, uzyskując dyplom geodety. Jest współzałożycielem Towarzystwa Fotograficznego NOVA, Klubu Wysokogórskiego Limanowa oraz członkiem Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Był inicjatorem spotkań z cyklu „Podróże dalekie i bliskie”. Jest pilotem lotniowym i motolotniowym ultralekkich konstrukcji w kat. ULM. Prowadzi własną firmę. Żonaty, ma kilkumiesięcznego synka Dominika.

Z ostatniej chwili

Trento Film festival
MONTAGNA-ESPLORAZIONE-AVENTURA

Marek Dudek otrzymał zaproszenie na najstarszy i największy w Europie, bo działający od 55 lat Festiwal Filmów Górskich w Trento we Włoszech.

Festiwal Filmowy Trento to największa i najważniejsza tego typu impreza w Europie. Trwająca kilka dni prezentacja pokazuje życie gór, wspinaczkę, wielkie i małe ekspedycje, sporty ekstremalne i naturę związaną z tymi wydarzeniami. Oprócz przeglądów filmów, spotkań i warsztatów reżyserów i operatorów w Trento odbywają się również spotkania wydawców i targi książek „MontegnaLibri”. W tym roku odbędzie się już 46. edycja tego festiwalu.

Już wcześniej Marek Dudek prezentował swoje filmy na festiwalach filmów górskich. W 2006 r. na III Festiwalu Filmów Górskich w Krakowie. zaprezentował po raz pierwszy nakręcony współ-

nie z Jerzym Dudkiem film „Miasteczko”. Na III Międzynarodowym Spotkaniu z Filmem Górskim w Zakopanem w sierpniu ubiegłego roku pokazał film „Powroty”, a w grudniu tego samego roku na V Krakowskim Festiwalu Filmów Górskich, film „Matt”. Po tym festiwalu otrzymał zaproszenie do Trento. Prawdopodobnie zgłosi tam swój film „Matt” w delikatnie przerobionej wersji. Jest to film o górze Matterhorn. To góra, która dla każdego jest inna. Piękna, wyniosła i wymagająca kusi alpinistów. Jest to opowieść o grze, jaką każdy z nas czyta z górą i ze sobą.

Zaproszenie na festiwal w Trento jest niewątpliwie dla Niego wielkim sukcesem. Redakcja „Echa Limanowskiego” życzy powodzenia. O efektach udziału w tym festiwalu poinformujemy Czytelników naszego miesięcznika.



Pamięć o Tadeuszu Ociepce

Jolanta Bugajska



W 30-lecie śmierci Tadeusza Ociepki w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej została otwarta wystawa poświęcona Jego pamięci.

Tadeusz Ociepka był absolwentem krakowskiej ASP. Od 1955 pełnił funkcję dyrektora Zespołu Szkół Zawodowych, nazywanego „Metalówką”, później przekształconego w zespół Szkół Techniczno-Elektrycznych. Był znanym artystą malarzem, który pozostawił bogatą twórczość w postaci malarstwa, grafiki, rysunku, metaloplastyki oraz sztuki użytkowej.

- Był malarskim kronikarzem miasta, powracającym do XIX wieku. Z sentymentem i wycuciem oddawał architekturę miasta – ocenia dyrektor muzeum Jan Wielek.

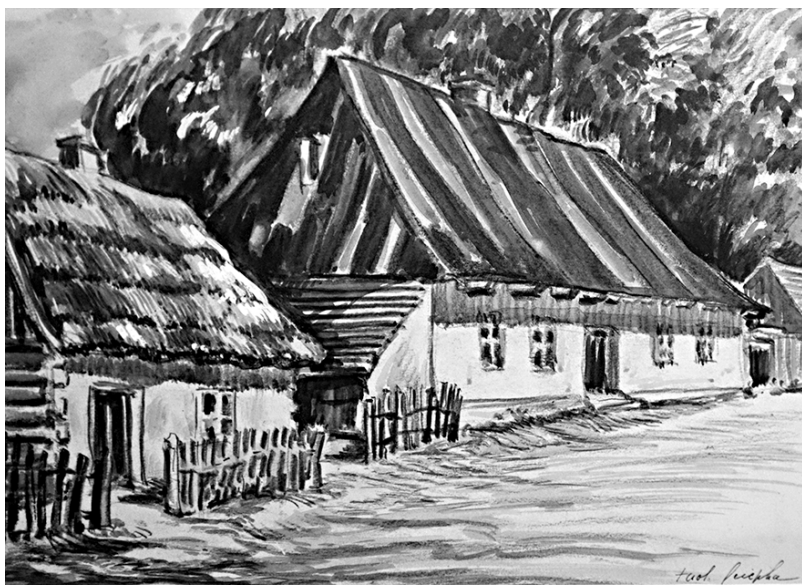
Na otwarcie wystawy przybyło wielu sympatyków twórczości i samej postaci Tadeusza Ociepki. W muzeum można bowiem zobaczyć prace do tej pory nie eksponowane, pochodzące z prywatnych kolekcji.

- Dziękuję za pamięć, za serce i serdeczność – dziękowała córka Ociepki Małgorzata Palińska, również absolwentka krakowskiej ASP, nauczycielka w ILO.

Stalym czytelnikom naszego miesięcznika przypominamy, że w roku 2003 ukazał się cykl artykułów „Galeria Tadeusza Ociepki”, kolejno zatytułowanych: „Portrety Limanowian”; „Limanowskie pejzaże”; „Lato i zima na Ziemi Limanowskiej”; „Metaloplastyka - nowe wyzwanie artysty”; „Drzewa - strażnicy limanowskiego pejzażu”; „Ulica artysty”; „Rynek Limanowski”; „Szkic do portretu artysty”. Autorka cyklu Małgorzata Palińska - córka artysty - w sposób barwny i wyczerpujący oprowadzała czytelników „po tej galerii”, dobierając odpowiednie prace artysty charakterystyczne dla Limanowej.

Artykuły publikowane wówczas przybliżyły postać zapomnianego już artysty, a obecna wystawa w Muzeum Ziemi Limanowskiej przypomina Jego twórczość.

Reportaż z wystawy dorobku plastycznego Tadeusza Ociepki (1920-1978) przedstawimy w następnym numerze „Echa Limanowskiego”.





Młody, zdolny, wiecznie roztańczony Keddex

Występują chyba na wszystkich ważniejszych imprezach sportowych i kulturalnych w Limanowej. Swoim tańcem uświetniają turnieje tenisa stołowego, piłki nożnej i koszykowej, a także takie imprezy jak Dzień Dziecka, Dni Limanowej, Biesiadne Grillowanie, festyny charytatywne. Jak prawdziwe cheerleaderki mają pompony i wykonują figury akrobatyczne. Mowa oczywiście o młodych, zdolnych, wiecznie roztańczonych dziewczętach z zespołu Keddex.

Działają dokładnie od 6 grudnia 2004 r. Przygotowały wówczas jednorazowy występ z okazji otwarcia hali sportowej przy ZSS nr 3. Taniec tak się im spodobał, że postanowiły działać dalej. Utworzyły grupę o nazwie Keddex – od firmy ich pierwszego sponsora Krzysztofa Dudka.

Teraz, po trzech latach, jest ich aż 40. Działają w trzech grupach: junierek ze szkoły podstawowej, gimnazjalistek i uczennic szkół średnich. Najmłodsze

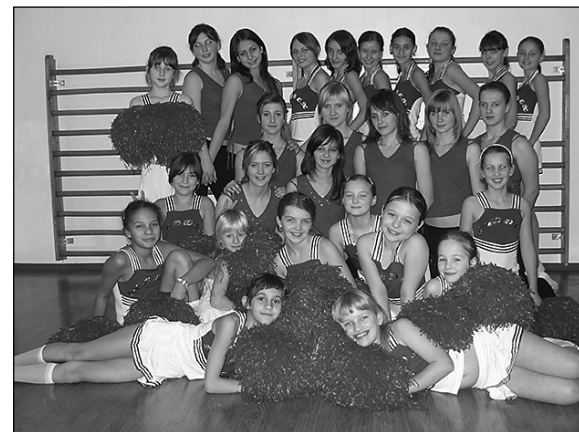
*„(...) tańczyć tak lekko, jako światło tańczy,
menuetowym krokiem,
by tchu nabrawszy westchnieniem głębokim,
w oddal wzlatywać na żurawią drogę
i siadać na obłokach (...)”*

Maria Pawlikowska-Jasnorzevska

trenują trzy, starsze dwa razy w tygodniu po dwie godziny. Ćwiczenia zaczynają od rozgrzewki, później są slajdy – kroki, wysoki i układy – sekwencje, ruchy. Jeden układ powtarzają setki razy, do znudzenia. Przygotowanie trzyminutowego występu zajmuje miesiąc. To ich jednak nie zraża. Robią bowiem to co kochają – tańczą.

- Są świetne, dają z siebie wszystko. Jestem z nich bardzo zadowolona. Tworzą zgrany zespół. Bardzo sobie nawzajem pomagają, starsze opiekują się młodszymi – ocenia opiekunka, trenerka Anna Mordarska – Sukiennik. Bez pani Ani zespołu by nie było. To ona wkłada w to całe swoje serce, poświęca swój czas i energię na żmudne przygotowania, czuwa nad choreografią i muzyką, choć tu duża zasługa także dziewcząt, które mają mnóstwo pomysłów.





Trud, godziny prób, przynoszą znakomite efekty. Keddex zdobył I miejsce w Powiatowej Gimnazjadzie Cheerleaderek w 2007 r., I miejsce w Powiatowych IMS Cheerleaders w 2007 r., I miejsce w Prezentacjach Artystycznych Limanowskich Dzieci w 2007 r., I miejsce w Dziecięcej Triadzie Artystycznej w 2007 r., V miejsce w Międzypowiatowym Turnieju Zespołów Cheerleaders w Michałowicach w 2007 r., V i XI miejsce w Mistrzostwach Małopolski Rytm-Muzyka-Taniec w Sufczyźnie koło Brzeska 2006 r. Ostatnio dziewczęta okazały się bezkonkurencyjne w Mistrzostwach Małopolskich Szkolnych Grup Tanecznych Cheerleaders w Limanowej – zdobyły pierwsze miejsca zarówno w kategorii junierek jak i gimnazjalistek. Keddex był lepszy od konkurentek z Krakowa, Oświęcimia, Wojnicza czy Bochni.

Bez wątpienia czerwono – granatowo – białe stroje wpisały się w limanowski krajobraz sportowy i kulturalny, a dynamiczny, rytmiczny, często akrobatyczny taniec dziewcząt podrywa ręce do klaskania...

Tekst: Jolanta Bugajska
Fotografie: arch. Zespołu Keddex



Cisza zamknięta w śniegu

Reprezentowali Polskę w Livigno na międzynarodowym plenerze-konkursie rzeźby w śniegu. Byli jedną z dziesięciu zaproszonych ekip, obok Włochów, Meksykanów, Holendrów, Czechów i Hiszpanów. Trzy osoby w trzy dni wyrzeźbiły trzymetrowe dzieło. To nic, że z ich pracą rozprawi się słońce. Liczy się sam akt tworzenia. Właśnie wrócili z Włoch do podlimanowskiego Szyku, gdzie mieszkają. Zabierają się za przygotowanie tradycyjnej Wigilii. Zamiast choinki będzie u nich królować podłóżniczka, a prezenty przyniesie Anioł pozostawiający na śniegu delikatne ślady skrzydeł.



Na międzynarodowym plenerze rzeźby w śniegu. Stoją od lewej Elżbieta, Piotr i syn Mikołaj Zbrozkowie.

- Właśnie wrócili Państwo z Włoch z artystycznego pleneru rzeźby w śniegu. Brzmi fascynująco, ale i ... zimno.

P.Z. - Rzeźba w śniegu daje możliwość zrobienia w stosunkowo krótkim czasie dużej formy. Pracowaliśmy w kostkach o długości, szerokości i wysokości 3 metrów, czyli w 27 m sześciennych śniegu. Śnieg był zbity i zmrożony, miał właściwie konsystencję lodu. To stwarzało możliwość dojścia do detalu, do szczegółu w rzeźbie.

- Jak wygląda taka praca w śniegu? Grube rękawice, czapka, szalik i ostra piła?

P.Z. - Piły motorowej nie można używać, bo regulamin dopuszcza posługiwanie się tylko ręcznymi narzędziami. Wykorzystuje się więc narzędzia podobne jak te do rzeźbienia w drewnie, tyle że w większej skali.

E.Z. - Oczywiście każda ekipa ma swoje sposoby. Każdy projekt wymusza zastosowania różnych narzędzi.

- Jakich na przykład?

P.Z. - Trzeba zacząć od łopaty i od szpadla poprzez różnego rodzaju dłuta na długich rękojeściach, używanych po to, żeby nie marznąć w ręce.

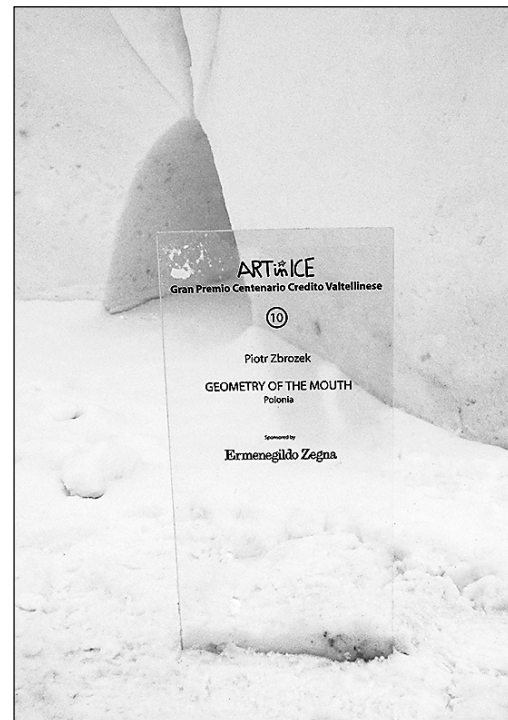
E.Z. - Rękawice i tak zmienia się co najmniej cztery razy w ciągu dnia.

P.Z. - Śnieg się osypuje i przy krótkich dłutach błyskawicznie ma się rękawice mokre i zimne. Jeśli chce się wycinać bryły śniegu, można wykorzystywać ręczne piły oraz narzędzia do ciosania, typu siekiera. Nieraz stosowane są też linki do obcinania całych bloków śniegu. To oczywiście zależy od koncepcji rzeźby.

- Praca nad rzeźbą trwała trzy dni. Dzieło przetrwa może kilka tygodni. Sztuka dla sztuki.

P.Z. - To właśnie jest fascynujące, że ta rzeźba jest ulotna, później idzie ze słońcem do nieba.

E.Z. - W tej miejscowości układ pogody jest na tyle korzystny, że podobno



rzeźba utrzyma się do kilku miesięcy. Oczywiście jej struktura z czasem się zmienia.

P.Z. - Livigno to dolina położona na wysokości ponad 1800 metrów. Pasma górskie z dwóch stron powodują, że słońce w zimie bardzo późno wschodzi i wcześniej zachodzi, czyli czas operacji słonecznej jest stosunkowo krótki, dlatego ta destrukcja rzeźby przebiega dość wolno.

- Nie szkoda tej pracy?

P.Z. - To praca w zupełnie innym wymiarze, niekoniecznie musi przekładać się na jakiś trwały efekt materialny. Plener wiąże się z wymianą doświadczeń, spojrzeń na sztukę.

E.Z. - Zawsze zostaje materiał fotograficzny. Ważny jest też udział ludzi, którzy przychodzą obserwować pracę. To tworzenie na powietrzu i zupełnie inne doświadczenie niż w pracowni, gdzie tworzy się w samotności. Poza tym tam wszystkim udziela się pozytywny nastrój twórcy. Organizatorzy i widzowie bardzo tym wszystkim żyją.

- Ta obecność obserwatorów nie denerwuje?

P.Z. - Trzeba to zaakceptować. Założeniem takiego pleneru jest to, że proces twórczy jest pokazany od początku do

Rozmowa z rzeźbiarzami Elżbietą i Piotrem Zbrożkami



końca. Nieraz ludzie specjalnie z daleka przyjeżdżają na plener, żeby codziennie obserwować jak rzeźba się zmienia. A jeszcze ciekawiej jest, gdy artysta wcześniej udostępni model, projekt i widzenie mają możliwość śledzenia toku pracy, dochodzenia do efektu finalnego.

- Rzeźba musi być zgodna z projektem, czy jest możliwość spontanicznego tworzenia?

P.Z. - Zasada jest taka, że dostaje się od organizatora propozycję udziału w plenerze i wysyła się projekt, który bierze udział w konkursie. Tu do konkursu stanęło 70 pomysłów, do realizacji wyłoniono 10. Właściwie jest się zobowiązany do realizacji przedłożonego modelu. Naturalnie można wprowadzić drobne zmiany, które wiążą się choćby z rodzajem śniegu, czy układem bryły w stosunku do stron świata, bo dla rzeźby w śniegu duże znaczenie ma oświetlenie i destrukcyjna rola słońca.

E.Z. - Ale oczywiście żadna komisja nie weryfikuje, czy jest to dokładne odzwierciedlenie projektu. To tak jak w każdej pracy twórczej, jest pomysł, a potem twórcza praca, coś się zmienia, dopracowuje.

- Po raz pierwszy w plenerze wziął udział Państwa syn.

E.Z. - Zabrzmi to nieprawdopodobnie, ale Mikołaj wcale nie miał ochoty jechać do Włoch, bo on lubi chodzić do szkoły.

P.Z. - Ma wyobraźnię przestrzenną, zdolności manualne, sprawdził się, bardzo nam pomógł.

- Rzeźba nosi tytuł „Geometria ust”. Jaka jest jej wymowa?

P.Z. - Jak się okazało, udało nam się dość trafnie wpisać w pejzaż. Usta, które pojawiały się na rzeźbie z różnych stron jako przestrzenna forma, są ustami milczącymi. To symbol zamknięcia ciszy, spokoju tego miejsca. Równocześnie to pewnego rodzaju kontrast między surową architekturą tej formy geometrycznej a biologiczną formą ust. Kontrast między czymś z natury ciepłym a zimnym śniegiem.

E.Z. - Takie gorące zimne usta.

- Wróćce święta. Jak wygląda Wigilia w domu artystów?

E.Z. - Nie ma choinki, jest podłazniczka. Jestem przywiązana do miejscowej tradycji. W domu jest specjalny hak w belce, który czeka cały rok na podłazniczkę. Jesteśmy przeciwko wycinaniu drzew na choinki, staramy się oszczędzić żywe drzewko. Na podłazniczce wieszamy światy z opłatka. Opłatki pieczemy sami w domu.

P.Z. - Ja wcześniej przynoszę gałęzie jodłowe z lasu i wynoszę się z domu, żeby nie przeszkadzać. Idę na wigilijne polowanie. Gdy pierwsza gwiazda zaczyna migać, wracam.

- Na stole jest dwanaście potraw?

P.Z. - Jeśli chodzi o jadłospis to przeplatają się dwie tradycje, bo ja jestem ze wschodnich rubieży, a żona stąd.

E.Z. - Dlatego jest i barszcz z uszkami, i żur z grzybami, karp lub pstrąg prosto z

potoku i oczywiście pierogi, ale licznie nie jest moją mocną stroną.

- Pierogi specjalnie „rzeźbione”?

E.Z. - Pierogi są normalne, ale wcześniej pieczemy pierniczki. Tu jest pole do popisu dla całej rodziny i bogactwo kształtów.

- A najpiękniejsza, niezapomniana Wigilia?

E.Z. - Syn Mikołaj urodził się 20 grudnia, dzień przed Wigilią przywiozłam go do domu. U nas w ogóle każda Wigilia jest piękna, bo w Szyku jest cudnie. W Wigilię pod oknami możemy zobaczyć zające, sarny, a rano bażanty. Gdy spadnie śnieg jest bajkowo. Każda pora roku ma tu swoją urodę.

- Jak to się stało, że artyści o ogólnopolskiej czy wręcz europejskiej renomie zamieszkali w podlimanowskim Szyku?

E.Z. - Gdy tam trafiliśmy to ani w Polsce, ani nawet w okolicy nie było o nas słyhać....

P.Z. - Nie chcieliśmy mieszkać w mieście. A w Szyku czekał na nas kawałek ziemi. Czasem nie jest łatwo. Życie w takiej miejscowości wiąże się z różnymi utrudnieniami. Nawet dzisiaj, nim wyjechaliśmy, przez półtorej godziny odśnieżaliśmy drogę. W mieście nie zna się też problemów z doprowadzeniem gazu, telefonu, czy wykopaniem studni.

E.Z. - Przed dwudziestu laty powiedziałam księdzu w Szyku: my nie wyjeżdżamy w świat, bo świat do nas przyjdzie. I rzeczywiście świat do nas przyszedł, ludzie chętnie nas odwiedzają. Nie ma problemu z kontaktem, zwłaszcza teraz, gdy jest Internet.

- Gwiazdka przyniesie jakiś prezent?

E.Z. - U nas Anioł przynosi prezenty. Trzeba tylko uchylić mu okno. Zawsze w wigilijny wieczór tuż przed deserem słyszymy cichy dzwoneczek.

P. Z. - A na śniegu możemy zobaczyć ślady muśnięcia anielskich skrzydeł...

Rozmawiała: Jolanta Bugajska

(Wywiad przeprowadzony przed świętami Bożego Narodzenia 2007 r.)

Reportaż zdjęciowy z pleneru na stronach 28-29



Władysław Frączek - autor wystawy.

To już trzecia indywidualna wystawa malarstwa olejnego Władysława Frączka w Galerii Sztuki w Limanowej. Swoje prace po raz pierwszy prezentował w limanowskiej Galerii 11 grudnia 2000 r. Trzy lata później w maju 2003 r. po raz drugi odbyła się Jego prac wystawa.

O panu Władysławie oraz Jego twórczości pisała na łamach naszego miesięcznika Małgorzata Ociepka w artykułach: „Płótno i pędzel” nr 80 z grudnia 2000 r. i „Uchwycone w czasie, zachowane w pamięci” nr 104 z maja 2003 r.

Wówczas autor wystawy m. in. powiedział „*Maluję to co widzę. Chcę pokazać piękno naszych gór, Limanowej, bazyliki, kamieniczek i ciekawych miejsc z naszego regionu. Staram się utrwalić na obrazach ważniejsze wydarzenia, ludowe obrzędy. Maluję to, co zapada w moją pamięć.*”

Autor wystawy, którą mogliśmy oglądać w grudniu 2007 r. w Galerii Sztuki w Limanowej znany jest naszym Czytelnikom. Od kilku lat w „Echu Limanowskim” publikuje artykuły o tematyce społecznej i historycznej, prezentując portrety limanowian. Aktualnie o panu Władysławie Frączku mogliśmy przeczytać w folderze wystawy, który został przygotowany przez Halinę Matras – dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Limanowej, w którym m. in. napisano:

(...) Urodził się w 1926 r. w Juraszowej gmina Podegrodzie. Jest absolwentem Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie, gdzie uzyskał tytuł inżyniera rolnictwa, a w roku 1975 ukończył studia magisterskie na Wydziale Rolniczym A.R. w Krakowie.

Od 53 lat z żoną Kazimierą i rodziną mieszkają we własnym domu w Limanowej. Mają czworo dzieci i troje wnucząt.

(...) Pan Władysław ponad 21 lat pełnił funkcję prezesa w dwóch spółdzielniach GS i OSM w Limanowej oraz wiceprezesa RSZ i ZB. Był i jest nadal działaczem chłopskiej partii ZSL i PLS.

(...) Przez 7 lat nauczyciel zawodu rolnika w Zespołach i Szkołach przysposobienia rolniczego (Kasina Wielka, Roztoka, Stara Wieś – Wola, Siekierzyna) oraz w wieczorowych uniwersytetach ludowych, gdzie prowadził zespoły teatralne (Świdnik, Stronie, Przyszowa, Berdychów, Limanowa). Pod Jego kierunkiem młodzież wiejska wystawiała sztuki sceniczne wg. utworów Fredry, Zapolskiej, Szaniawskiego. Autor dwóch sztuk dramatycznych „Nie rzucim ziemi” i „Zemsta Michała”. Ta ostatnia na wniosek etnografa prof. R. Reinfusa wyróżniona została na przeglądzie zespołów powiatowych. Jest autorem dwóch książek wydanych drukiem „Co

potomek wiedzieć powinien” i „Polska ziemia to nasz kraj” oraz jednej monografii dotyczącej GS w Łukowicy i kilku kronik. Obecnie pracuje nad książką pod roboczym tytułem „Oni służyli Ojczyźnie”.

Malarstwem zajmuje się od chwili przejścia na emeryturę, ale kilka rzeźb i obrazów (akwarele) wykonał mając 14 lat (rzeźba Chrystusa Ukrzyżowanego i portret krakowianki). Do malarstwa powrócił po 50-ciu latach, do rzeźby nigdy.

Do chwili obecnej wykonał ponad 200 prac malarskich o różnej tematyce (pejzaż, martwa natura, portret, architektura, kwiaty) nagrodzonych na konkursach i wystawach zbiorowych w tym także ogólnopolskich (Kraków, Wągrowiec, Bydgoszcz, Nowy Sącz), a ostatnio w Nowym Targu 17 listopada 2007 r., gdzie obrazy dawnej i współczesnej Limanowej uzyskały drugie miejsce i nagrodę pieniężną.

Společnie działa też w Związku Kombatantów RP i byłych Więźniów Politycznych. Od 15 lat jest członkiem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Nowym Sączu, a w ubiegłym roku wybrany został w skład Zarządu.

(...) Ostatnio korzystając ze starej fotografii, maluje fragmenty ulic, rynku i domów naszego miasta, a obok nich na oddzielnym obrazie umieszcza nowo zbudowane obiekty, aby – jak mówi – młodzi limanowianie mogli sobie porównać współczesny wygląd miasta z miasteczkiem swoich ojców. Jak widać w Jego obrazach w tej architekturze zmieniło się bardzo wiele.

Władysław Frączek bardzo często w swoich pracach malarskich przedstawia jedno wielkie dzieło naszych przodków -

Nie marnuje talentu

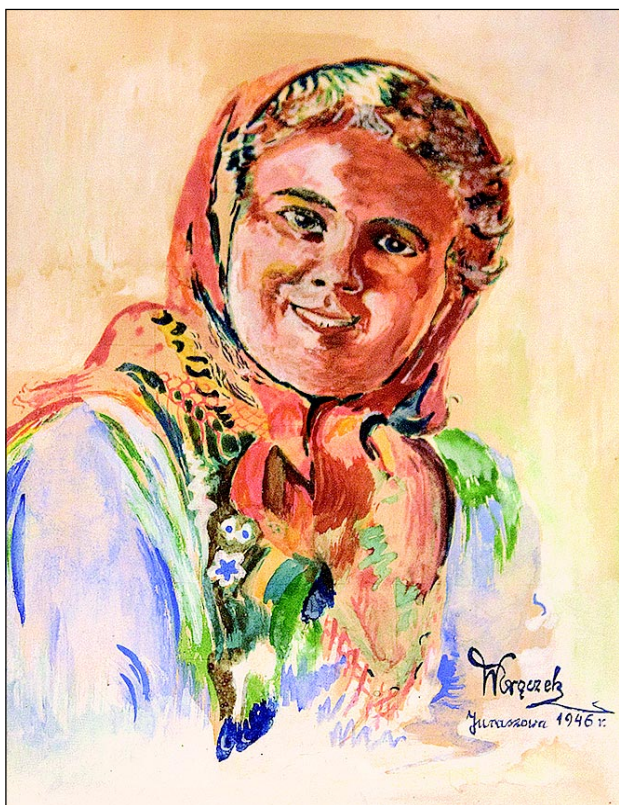


Malarstwo Władysława Frączka

monument na miarę przyszłych wieków, limanowską Bazylikę – Pomnik Konstytucji 3 Maja, która wtedy, dziś i w przyszłości będzie swą okazałością i piękną kamienną linią zawsze zachwycać (...).

Na obecnej już trzeciej indywidualnej wystawie Autora oglądać mogliśmy ponad 50 płócien z nowymi ujęciami starej i nowej Limanowej, a także pejzaże, kwiaty i portret. Uprawia głównie malarstwo olejne.

Materiały opracował: Stanisław Ociepka
Reprodukcje obrazów: Dariusz Ociepka



Redakcja „Echa Limanowskiego” dziękując za współpracę z naszym miesięcznikiem, życzy Panu Władysławowi Frączkowi, aby twórczy zapal trwał nadal.



Cisza zamknięta w śniegu



Zdjęcia z pleneru rzeźby w śniegu pochodzą z arch. państwa Zbrożków





ŻWIROWNIA

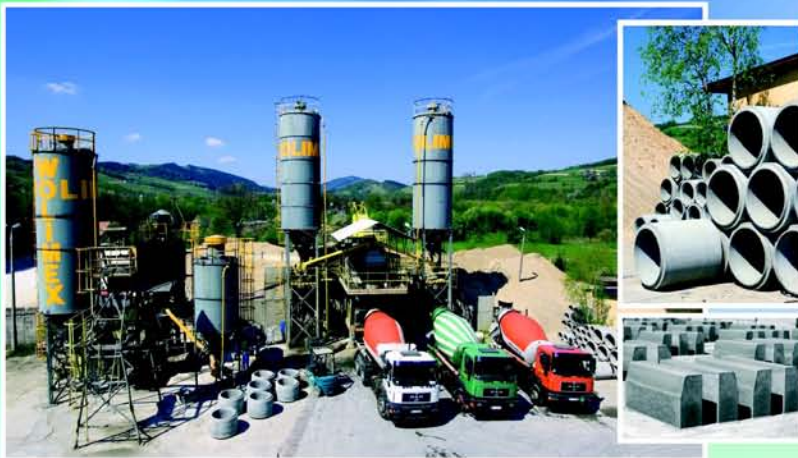
ZAKŁAD USZLACHTNIANIA KRUSZYW NATURALNYCH 32-840 Zakliczyn, Charzewice
tel. 014 66 59 193, fax: 014 66 59 158

W nowoczesnym zakładzie uszlachetniania kruszyw naturalnych w Charzewicach k. Zakliczyna produkujemy kruszywa do betonu oraz do mieszanek mineralno-bitumicznych. Nasza oferta zawiera następujący asortyment:

- piasek płukany 0-2 mm, grys 2-4 mm, grys 4-8 mm, grys 8-12 mm
grys 8-16, mieszanki mineralne 0-16 mm, pospółka 0-63 mm

WYROBY BETONOWE

Zakład jest producentem prefabrykatów betonowych, służących do regulacji rzek i potoków, oraz do budowy kanalizacji i dróg. Zabezpieczamy produkcję dla potrzeb własnych oraz odbiorców zewnętrznych



Posiadamy komputerowo sterowany węzeł betoniarski do produkcji masy betonowej.

Produkowane prefabrykaty betonowe:

- rury i kręgi betonowe
- pokrywy betonowe
- korytka ściekowe
- płyty chodnikowe
- obrzeża trawnikowe
- płyty ażurowe, jomb (małe i duże)
- płyty i krawężniki drogowe

Oferujemy również masę betonową wraz z transportem i pompą do betonu Stetter.

tel. 018 33 76 862



WOLIMEX

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWO-HANDLOWE

34-600 Limanowa, ul. Tarnowska 33, tel. (018) 33-76-100, fax (018) 33-76-159

<http://www.wolimex.com.pl>, e-mail: biuro@wolimex.com.pl



Świąteczne spotkanie w „Gold Dropie” Kolędy to czas...

Tradycją w firmie „Gold Drop” są coroczne spotkania Zarządu z pracownikami i przyjaciółmi „Złotej Kropelki” odbywające się w przededniu Świąt Bożego Narodzenia. W radosnym nastroju składane są podziękowania i życzenia, a zbliżający się koniec roku skłania do podsumowań i planów na przyszłość.

O minionym roku w „Gold Dropie” mówił prezes Zarządu Stanisław Gągała. Wymienił zadania realizowane przez firmę w minionym roku. Pierwszym była modernizacja zakładu, zwłaszcza hal produkcyjnych, która pozwoliła na likwidację trzeciej zmiany, przy zachowaniu tej samej ilości zatrudnionych osób. Jednocześnie odnotowano wzrost produkcji. Kolejne zadanie to rozwój handlu krajowego i zagranicznego. „Ten niezwykle trudny pod względem sprzedaży rok kończymy z bardzo dobrym wynikiem finansowym, chyba najlepszym od początku istnienia firmy – powiedział prezes S. Gągała. „Zdobywamy nowe rynki za granicą, eksportujemy nasze środki do ponad dwudziestu krajów, nawet tak egzotycznych jak Kenia”. W minionym roku również Zarząd przeznaczył znaczne środki na wzrost płac pracowników oraz na ich szkolenia m. in. naukę języków obcych.

Prezes Zarządu „Gold Dropu” wspominał o sukcesach firmy. W rankingach publikowanych w prasie specjalistycznej płyn do mycia szyb „Window” zajmuje I miejsce wśród tego rodzaju produktów, płyn do mycia naczyń „Gold Cytrus” - II miejsce, krochmal „Ługa” - I miejsce. W ubiegłym roku do kolekcji nagród przybyły dwa diamenty: Ósmy Diament do Statuetki Lidera Polskiego Biznesu wręczony podczas letniej Gali BCC i Drugi Diament do Statuetki Lidera Przedsiębiorczości Ziemi Limanowskiej.

Prezes Stanisław Gągała podkreślił, że osiągnięcia zawdzięcza „Złotej Kropli” przyjaciołom, którzy gościli w tym dniu w siedzibie firmy. Dziękował przedstawicielom władz samorządowych powiatu, miasta i gminy Limanowa za życzliwość i wspieranie przedsiębiorczości, posłowi RP Bronisławowi Dutce, wspierającym fir-



mom m. in. „Impuls” pp. Wojtasów, Sławomirowi Kaliszowi – właścicielowi restauracji „Siwy Brzeg” i Janowi Tokarczykowi prowadzącemu firmę budowlaną. Ciepłe słowa skierował do kapelana „Gold Dropu” ks. J. Waśniowskiego, kustosa sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia w Pasierbcu.

Wyrazem wdzięczności wobec zaproszonych gości było wręczenie okolicznościowych medali wybitych z okazji jubileuszu 15-lecia firmy. Otrzymali je: starosta powiatu limanowskiego *Jan Puchala*, wicestarosta *Franciszek Dziedzina*, przewodniczący Rady Powiatu *Jacenty Musiał*, wiceprzewodniczący Rady Powiatu *Tomasz Krupiński* oraz redaktor Dziennika Polskiego *Jakub Toporkiewicz*.

Największe wyróżnienie stanowi przyznanie statuetki „Złotej Kropelki” - podczas uroczystości wręczono ją *Sławomirowi Kaliszowi* za przygotowanie obsługi cateringowej, jubileuszu 15-lecia i okolicznościowych spotkań w firmie.

Członkowie Zarządu „Gold Dropu” jak co roku nagrodzili najlepszych pracowników firmy. Za pracę związaną z przygotowaniem do Europejskiej Nagrody Jakości wyróżnieni zostali: *L. Ćwik, J. Bubula, Ł. Maciuszek, S. Sroka, J. Dzik, R. Woźniak, E. Górską, J. Kuś, R. Gancarczyk, P. Bieda*. Nagrodzono pracowników odpowiedzialnych za sprawne funkcjonowanie

Zintegrowanego Sytemu Zarządzania Jakością i środowiskiem: *J. Bubulę, E. Młynarczyk, E. Gawrona, S. Czaję, W. Kozuba, R. Słowika, J. Kusia, B. Oleksy, D. Stożek, P. Tokarczyka*. Tytuł wzorowego pracownika 2007 roku przyznano pięciu osobom wybranym w anonimowym głosowaniu: *J. Bubuli, M. Smoter, S. Czaji, S. Natankowi, T. Chudemu*. Zarząd „Gold Dropu” przyznał tytuł wzorowego sprzedawcy *Ryszardowi Dytmnowi*, dyrektorowi zamiejscowego oddziału w Mysłowicach za wykonanie największego obrotu handlowego w minionym roku. Statuetkę „Złotej Kropelki” otrzymuje także co roku jeden z pracowników – w tym roku nagrodzono nią *Stanisława Czaję* związanego z firmą od 1995 roku.

Życzenia i gratulacje składali Zarządowi i Pracownikom firmy zaproszeni goście. Dziękowali za promowanie powiatu limanowskiego, pracę w Radzie przedsiębiorczości, wspieranie sanktuarium w Pasierbcu, pomoc okazywaną środowisku. Życzliwi wielu sukcesów w nadchodzącym Nowym Roku. Spotkanie zakończyło się toastem i wspólnym kolędowaniem.

Redakcja „Echa Limanowskiego” życzy Zarządowi i Pracownikom „Złotej Kropelki” wielu sukcesów, zadowolenia i pomyślności w Nowym Roku.

Ilona Machowicz-Jurowicz



KOMINY LIMANOWSKIEGO PRZEMYSŁU

Zbigniew Sułkowski

Komin nie znalazł raczej należnego miejsca w dorobku kultury duchowej, choć jego rola czynnika postępu cywilizacyjnego była znacząca szczególnie. Od czasów średniowiecza był też jako wyraz luksusu obłożony osobnym podatkiem, stąd w dawnych budynkach zmyślnie murowane konstrukcje sprowadzające dym do jednego wylotu. Było to też niewątpliwie przyczyną trwania „kurnych” chałup na polskiej wsi, ostatnie takie w naszym powiecie pamiętam z końca lat 50 – tych (!)

W mowie potocznej miał raczej komin konotację negatywną, służąc przeważnie do wyrażania myśli w stylu: brudny, jakby z komina wyszedł. Gdy byłem w podstawówce, pamiętam, że każda próba określenia koleżanki pięknym z gwary wyrazem dziopa, była replikowana, że dziopy to są w kominie, co było zwrotem niejasnym, trochę później rozjaśnionym lekturą Sienkiewicza. Metaforą - Kominy przy niej naszymi orszańskimi pannami

zatykać! - objaśnia Kmicic swym kompanom urodę Oleńki Billewiczówniej.

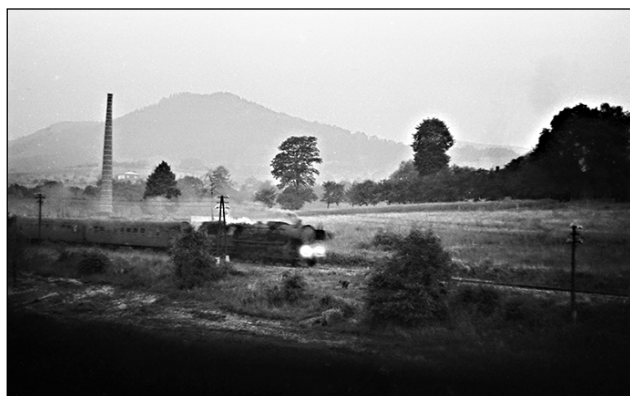
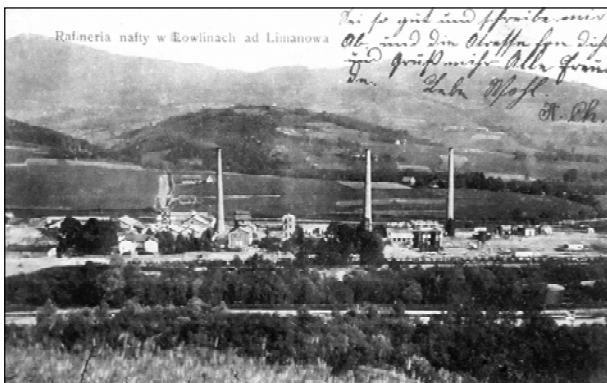
Tak więc komin długo nie służył do skojarzeń z czymś godnym, aż...

„Zakład przemysłowy pomyślany był z niebywałym rozmachem. Ze względów reprezentacyjnych i wychowawczych, a także oświatowych zbudowano najpierw odpowiedni komin, a resztę zamierzano dobudować potem. Potem jednak zabrakło środków.

Aby jednak dokonany wysiłek nie poszedł na marne, a także z tych samych względów, które zadecydowały, że budowę zaczęto od komina – zorganizowano jednoosobową załogę kombinatu w postaci piecowego, który dniem i nocą dokładając do komina wywoływał szczególnie za pomocą szmat i starzych kaloszy ogromne kłęby czarnego dymu. Te zaś unosząc się z tak wysokiego komina, widoczne były nawet w dalekich okolicach.”

*Sławomir Mrozek
„Uciezka na południe”*

To w czasach wczesnogomułkowskich, ale należy pamiętać, że już sto lat wcześniej ilość i wysokość kominów przemysłowych świadczyła o bogactwie



Kominy Limanowej. **Na pierwszej stronie:** Dziś komin browaru uzupełnia widok Starostwa. **Niżej:** Tablica firmowa budowniczego kominu browaru. **Powyżej od góry:** Browar tuż przed przebudową. Kominy limanowskiego browaru - przełom lat 20/30 XX w. Rafineria w trakcie budowy. Trzeci, ostatni komin rafinerii został wysadzony w grudniu 1997 r. (fot. Z. Dutka). Bednarnia w Łososin Górnej. Sowińska Cegielnia.

i znaczeniu miasta adekwatnie jak kilka wieków wcześniej liczba wież kościelnych. Pamiętam z czasów chyba jeszcze stalinowskich agit – broszurkę „Droga prowadzi w górę” poświęconą Limanowszczyźnie. Autor rozpisywał się w niej na temat przedwojennej nędzy i zacołania; mimochodem wspominając o sowlińskiej rafinerii w kontekście jej zamknięcia w 1934 r. „I tak przestały dymić nieliczne na Ziemi Limanowskiej kominy” – zakończył patetycznie.

No właśnie. Na dawnych widokówkach przedstawiających fabryki często domalowywano dym do kominów, które na zdjęciu z jakichś przyczyn nie zaturwały powietrza /vide przedwojenna

pocztówka limanowskiej rafinerii prezentowana w numerze 136–137 styczeń-luty 2006 „Echa Limanowskiego”/.

Kominy służyły technologicznie procesom produkcyjnym, ale również (czasem przede wszystkim) wytwarzaniu energii, ponieważ powszechnie stosowano maszyny parowe, a jeśli już także silniki elektryczne, to zasilane prądem z własnej (parowej) elektrowni.

Warto tu napomknąć o prestiżowej roli kominów okrętowych w epoce dominacji żeglugi transoceanicznej. Największe parowce, także Titanic, miały ich po cztery, mniejszą estymą cieszyły się trój – i dwukominowce; te z jednym były poza klasą. Sytuacja zmie-

niła się w latach trzydziestych, gdy zaczęto stosować na statkach pasażerskich silniki Diesla, co nie wymagało większej liczby kominów. Nasze motorowce „Pilsudski” i „Batory” miały ich po dwa. Starym marynarzom taka degradacja bardzo się nie podobała. Gorzej - dwa kolejno zbudowane bliźniacze transatlantyki M/S „Sobieski” (1937 r.) i M/S „Chrobry” (1939 r.) miały już tylko po jednym kominie. Karol Borchardt pisze we wspomnieniach, jak to zrobiono kawał kapitanowi „Sobieskiego”, posyłając mu spreparowaną widokówkę budowanego „Chrobrego” z domalowanym drugim kominem. Bar- ▶
dzo to kapitana zdenerwowało.

▶ *A nasz ostatni transatlantyk TS/S „Stefan Batory” (1968 – 1988) chociaż parowy miał też tylko jeden komin.*

Wróćmy z dalekich oceanów na galicyjski ląd, motyw morski jeszcze się na moment pojawi, do wolnostojących kominów przemysłowych murowanych z cegły, okrągłych w przekroju i zwężanych ku górze.

Najstarszy z takich powstał w limanowskim browarze. Miejska piwowarnia istniała od czasów najdawniejszych, w II poł. XIX wieku rodzina Marsów rozbudowała czy zbudowała zakład od podstaw. Na najdawniejszej widokówce Limanowej, jaką posiadam (na niej korespondencja z 10 XII 1900 r.) da się odszukać ów browar z mało imponującym kominem. Efektem dalszej rozbudowy był wysoki na ponad 30 m murowany komin zachowany do dzisiaj. Zachowała się też na nim w stanie częściowo czytelnym tabliczka firmy, która go postawiła: „**PIERWSZAGALIC. SPÓŁKA budowy zakładów (...) kominów fabrycznych, (...) kotłów. Lwów**”.

Daty brak, ale przymiotnik „galicyjska” datuje budowę przed 1914 rok. Drugi, niższy komin (też o okrągłym przekroju) został obudowany kilkupiętrowym budynkiem, stercząc kilka metrów ponad dach. Istniał aż do przebudowy całej upadłości w Starostwo Powiatowe w ostatnim czasie.

Prawdziwie imponujące kominu powstały w zbudowanej w latach 1907–09 rafinerii nafty w podlimanowskich Sowlinach. W liczbie trzech jednakowej wysokości stały w jednym rzędzie i dymiły, co w tamtych czasach kojarzyło się jedynie z dobrymi zarobkami jakie fabryka miała zapewniać. Był jeszcze czwarty, metalowy pompowni nad rzeką, dwie maszyny

parowe zachowały się tam w idealnym stanie do końca tysiąclecia, aż je ktoś roztrzaskał w celu wydobycia mosiądzu panewek łożyskowych.

Dwa z trzech kominów murowanych wysadzono w 1949 r., gdy zapadła ostateczna decyzja o zaprzestaniu produkcji. Choć miałem wtedy cztery lata pamiętam smutne zgromadzenie mieszkańców Rafinerii (fabrycznego osiedla) kobiety nawet płakały, a kominu, pamiętam, nie przewracali się na bok, lecz siadały w dół jak domek z kart. Co w tamtych czasach mogło się niejednemu kojarzyć z rozstrzelaniem.

Rafineria stała się jedynie składem paliw. Pozostał komin kotłowni wytwarzającej parę potrzebną przede wszystkim do czyszczenia kolejowych cystern. A dla nas, smarkaczy, na długo był miernikiem niebotyczności - przelot każdego samolotu oceniany był zawsze według „ile wyżej / niżej” od kominu przeleciał. Nikt jakoś nie potrafił nam podać dokładnej jego wysokości, poznałem ją dopiero już po zwaleniu kominu w grudniu 1997 r.

W 1994 r. inż. Jerzy Baliński z ramienia Ośrodka Dokumentacji Zabytków Techniki w Warszawie dokonał opisu pozostałości nieczynnej od 1993 r. porafineryjnej kotłowni. Były tam trzy kotły systemu Tischbeina wykonane w 1907 r. przez firmę Erste Brunner w Brnie, każdy ważący 38 ton. Natomiast komin miał wysokość ok. 55 m, a jego średnica wewnętrzna u zwężonego wylotu liczyła 2,7 m.

Kotłownia pracowała w latach 1907–1934, 1940–1944 (Niemcy podczas okupacji uruchomili produkcję benzyny) i 1945–1993. Płomienicowo – płomieniówkowe kotły Tischbeina były kon-

strukcją niezbyt udaną i w XX wieku już zasadniczo zarzuconą ze względu na kłopotliwą eksploatację. Niemniej w Limanowej pracowały z krótkimi przerwami 86 lat. A ostatni komin rafinerii przeżył równo 90.

Kolejny murowany komin przemysłowy należał do sowlińskiej cegielni; piszczałkowy w kształcie zaznaczał się w krajobrazie przez usytuowanie na wzniesieniu za torem kolejowym. Nie wiem kiedy cegielnia powstała, prawdopodobnie przed I wojną w związku z budową rafinerii; komin zniknął jakoś bez rozgłosu na przełomie lat 70/80.

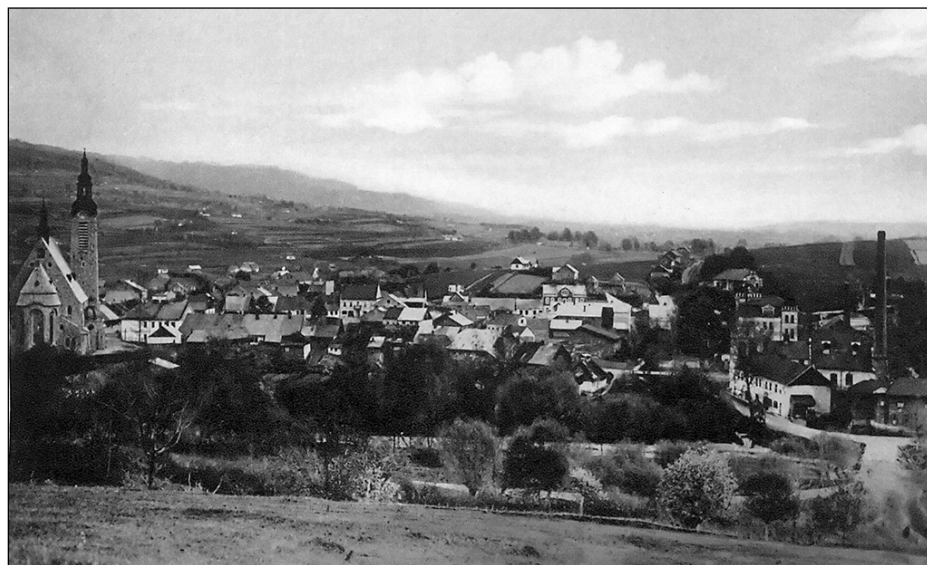
I ostatnim fabrycznym kominem, też do dzisiaj w stanie spoczynku zachowanym, był powstały w Łososinie, dokąd w połowie lat 50-tych do nowo zbudowanego zakładu przeniesiono z Sowlin przyrąfineryjną bednarnię. Duże i szumne przedsiębiorstwo w okresie „przekształceń wolnorynkowych” padło tragicznie.

Trzeba tu też wspomnieć o mniej dostojnych, ale tańszych kominach metalowych, stanowiła je wąska blaszana rura kilkunastometrowej wysokości, obowiązkowo ustabilizowana czterema odciegami z grubych drutów. Trudno powiedzieć ile takich było w rejonie Limanowej, wymienię te, z którymi integralnie występowały maszyny parowe.

Więc przede wszystkim tartak... Koło pożydowskiego tartaku pana Lustiga chowałem się na początku lat pięćdziesiątych i tyle tam dla nas nieletnich było cudowności, że naszym aniołom stróżom musiały włosy stawać na głowie. Ale ustrzegły – żadnego z nas „klocek” nie przytłukł. „Klocek” to w tartaku była każda belka do momentu, aż ją „gater” na deski nie rozmienił. Gatry (traki) były napędzane maszyną parową opalaną wyłącznie trotem z jakimiś drobnymi obrzynkami i zakład był właściwie samowystarczalny. Ale komuś to przeszkadzało i w latach 60-tych został zelektryfikowany. Pozbawiony – jak się wyrażał jeden z architektów - „akcentu pionowego” wyglądał odtąd jak bez nosa.

Drugi taki kominowy blaszak dymił do końca lat 50-tych w cegielni (silnik parowy poruszał tam mieszalnik gliny), a kolejny stał przy budynku kolejowej pompowni przy obecnej ul. ks. Jońca. Wodę z rzeki na stację tłoczył stamtąd tzw. pulsometr „sapiący” inaczej niż maszyna z kołem zamachowym.

Jak już była para, to mógł być i gwizdek. Potężną wielotonową syreną dyspo-



Widok ogólny Limanowej od strony Lipowego - 1931 r. Po prawej stronie komin browaru Marsów.

nowała rafineria, a jej metaliczny, chrapliwy ryk przypominał do złudzenia morskie sygnały parowców, które znałem z częstych w dzieciństwie wyjazdów do Gdańska. Trochę ciszej i wyższym tonem odzywała się trzy razy na dobę (praca trójzmianna) bednarnia, a już zupełnie cieniutko popiskiwały, choć w różnym tonie tartak, cegielnia i zdaje się, że także limanowska „owocarnia”, w którą przebranzowiono po wojnie browar Marsów. Owe gwizdy i buczenia (kto dziś pojmie dowcip: „Mamo! Fabryka bucy!”) regulowały czas pracy od początku ery przemysłowej; w połowie XX wieku były już tylko rytuałem. I odzywając się regularnie w tym samym czasie, ale niekoniecznie tym samym dla różnych zakładów, tworzyły wraz z kościelnymi dzwonami na angelus swoisty zegar dźwiękowy dla całej okolicy.

Ów porządek mogły zakłócić tylko wydarzenia nadzwyczajne. Takim była śmierć marszałka Piłsudskiego w 1935 r. – syrena rafinerijna grała wtedy przez całe 30 sekund i musiano na tę okoliczność specjalnie rozpalić pod kotłem. Śmierć Stalina w 1953 r. ta sama syrena ogłaszała już przez 5 minut, za to gdy w 1963 r. umarł jeden z najstarszych pracowników rafinerii inż. Józef Florian, głos syreny rozlegał się nieprzerwanie przez 35 minut - tyle, ile trwało przejście konduktu z domu Zmarłego do sownińskiej kaplicy.

A niedługo potem fabryczne syreny zamilkły, po prostu wyszły z użycia jako do celów praktycznych i ceremonialnych nieprzydatne. Zaczęło się też zmieniać ustosunkowanie do kominów, od lat 70-tych postrzeganych przede wszystkim jako źródło skażeń środowiska naturalnego. Oczywiście, w Limanowej wolnostojące kominy stawiano nadal, ale niemal wyłącznie przy kotłowniach c.o. I w innym już kształcie, o przekroju prostokątnym. Takie łatwiej było zbudować, a jeśli nawet wyszły trochę krzywo, to nic nie szkodzi, bo tak czy inaczej wyglądały paskudnie, co zresztą odzwierciedlało ich potoczne określenie – „krematoryjne”. Kopciły potwornie i dobrze, że większość limanowskich wytwórni ciepła przeszła na opalanie gazowe.

A dawne fabryczne kominy limanowskie, nawet nie wszystkie zachowane na zdjęciach, są dziś jedynie pamiątką. Czego? A może choćby tego, że na mapie biednej i zacofanej gospodarczo Galicji miasteczko Limanowa troszkę się jednak wyróżniało pożytywnie.

Grupa „Fontana”

Publikujemy trzy kolejne utwory literackie naszych przyjaciół z Dolnego Kubina.

Tatiana Reszowa

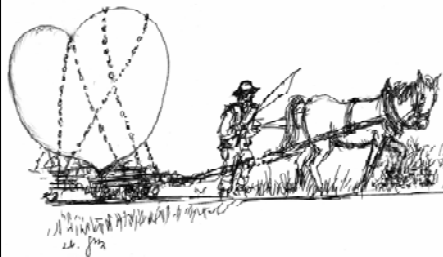
Prośba za starsuszków

Kochajmy ich – pisze się łatwo, a serce – szczerze czy tylko z papieru uczucia się tego zapiera. Więc niechby chociaż w tę chwilę ostatnią.

Głowy ich osiadł chłodny szron, oka nie iskrzy dawny blask, za to urasta pewność w nas : dzięki nim Pan nam poda dłoń.

Dla nich nadzieję dobrą miej, dali ci życie i serce swe, dlatego troszkę poświęć się choć na ostatnią chwilę tę.

Panie ! Tyś wiara, nadzieja, miłość – zechciej, by im ostoją były. A nim na wieki staniesz się tarczą, nasze ramiona niech im wystarczą.



Lidia Kowalikowa

Życie bez serca

Jeszcze śpi. Kiedy wstanie, cały kołowrót zacznie się od nowa. Będę przede wszystkim miła, bo to w naszym domu musi być na pierwszym miejscu. Kolejnym kłopotliwym wymogiem naszego wspólnego życia jest moja uroda. Po prostu muszę być piękna. To znaczy, że jeszcze przed jego przebudzeniem umyję włosy i nałożę lekki makijaż. Uwaga, tak delikatny, żeby nie powstały najdrobniejsze smugi. Kiedyś coś zauważył i bardzo się pogniewał. Podczas śniadania będę się uśmiechać. Podam mu talerzyk z masłem, a gdy będzie to potrzebne, zamiast masła zaserwuję mu na talerzyku swoje serce.

I po chwili jest dokładnie tak, jak przewidywałam - chce je. Więc na deserowym talerzyku układam serce. Jeszcze ciepłe i trochę trzepoczące. A potem już całkiem bez serca postawię na stole filiżankę zielonej herbaty. Herbaty dlatego, że kawy on nie może ani ciut ! Więc i ja nie mogę pić kawy.

Od kilku lat popatruję w lustro. Pierwsze zmarszczki jakoś nie robią wrażenia. Jego wielki brzuch też nie. To ważne, że śpi zazwyczaj do obiadu i dzień z nim nie jest taki długi. Da się przeżyć bez serca.

Przełożył Zbigniew Sułkowski

Maria Muraniowa

Nigdy bez ciebie

Leżę nad potokiem, a słońce grzeje i pyta czy zdołam wetrzeć każde westchnienie do porannej rosy jeszcze wilgotnej w cieniu. Cień łamie się na kolanach, a słońce wnika w me włosy, dociera w serce ...

Ja i ty
Pomiędzy nami krzesło i nic, znacząco pokazujesz na złamaną nogę - nie ma jak usiąść.
Czymże jest słowo w rozpękniętych dłoniach, które przestały być czarą żywota, szczęście z nich uszło w mrok nocy.

A te, zda się, coraz dłuższe.

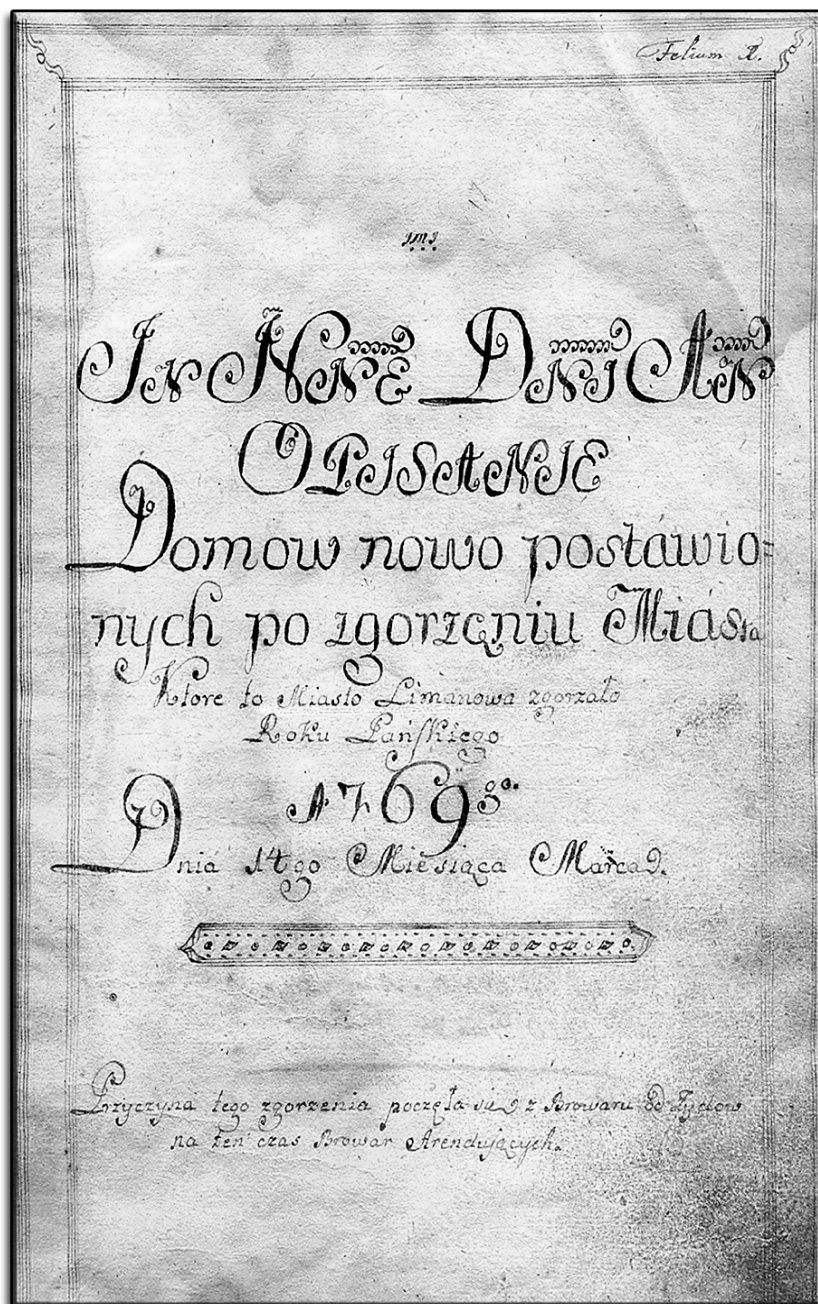
Cicho poraża blask, złościsz się, podejźmy bliżej, głowę przytul do piersi, obejmę cię siłą duszy - płaczesz, że uciekasz, a nie wiesz gdzie ; za mnie? – to jest za daleko, a przecież nie masz dokąd.
Chyba żyć ze mną

KSIĘGA MIEJSKA Z DRUGIEJ

Czy można odtworzyć wygląd miasta i życie jego mieszkańców sprzed wielu stuleci? Charakterystycznych i znanych nam dzisiaj akcentów próżno by wówczas szukać może z wyjątkiem otaczających go wznieścień. Jedynym sposobem są poszukiwania i analiza różnego rodzaju źródeł historycznych. W ubiegłym roku w czasie Dni Limanowej zastępca wójta Gminy Limanowa pan Franciszek Bieda przekazał burmistrzowi miasta Markowi Czeczótce dokument będący wyjątkowym świadectwem odległych czasów.

Odnaleziony dokument jest kontynuacją dokumentacji miejskiej prowadzonej po lokacji miasteczka w XVI wieku. Rozpoczyna się od opisanie „(...) domow nowo postawionych po zgorzeniu miasta, które to miasto zgorzało Roku Pańskiego 1769 dnia 1 miesiąca marca”. Limanowa była wówczas niewielką osadą z drewnianą zabudową wokół rynku. Doświadczana od ponad stu lat wojnami, głodem, epidemiami i wreszcie wielkim pożarem, który zniszczył większość domów i drewniany kościół pamiętający początki miasta. Spisu placów i domów dokonał 24 czerwca 1770 roku pisarz miejski Walenty Biedroński. Zaczynając od części północnej, która „się zaczyna idąc do Krakowskiej po prawej ręce”, wymienia z imienia i nazwiska mieszczan limanowskich, których majątek stanowiły przede wszystkim uprawiane niwki i ogrody przylegające do miasta. Według tego samego schematu opisuje część wschodnią miasteczka, która „zaczyna się od Rogu idąc pod górę po prawej ręce”, południową „z rogu idąc do Sądeckiej ulicy po prawej ręce” i zachodniej, która „zaczyna się idąc do dworu Starowiejskiego po prawej ręce”. Ten osobliwy i czasami zrozumiały tylko przez ówczesnych mieszkańców miasta opis kończy ulica Krakowska, przy której wymieniono największą liczbę placów i domów. Świadczyć to może, że w tej części miasta pożar dokonał najmniejszych zniszczeń. Ostatnią pozycją wymienioną w spisie jest „plac na samym środku rynku, na którym Ratusz stał”.

Druga część wspomnianej księgi miejskiej to różnego rodzaju zapisy dotyczące spraw majątkowych mieszkańców miasteczka. Zapis taki gwarantował trwałość i niepodważalność umowy. Przepis z roku 1643 ostrzegał „jeśliby kto (...)ksiąg do naszych urzędowych nie wprowadził i nie zapisał (...) żadnej wagi i mocy, ani takowa sprawa przed urzędem naszym przedkładana, mieć nie będzie mogła”. Sądzić należy, że mimo to wiele umów szczególnie w gronie rodziny miało formę ustną. Wpisy w księdze miejskiej, za które należało uiścić opłatę, dotyczą więc spraw ważnych ze względu na wartość transakcji lub ewentualne kontrowersje. I tak mamy kilka umów o sprzedaży domów i placów często wraz z gruntami rolnymi. Spotykamy również kilka spraw spadkowych czasami bardzo złożonych i budzących wówczas wiele emocji.



Jedną z ciekawszych i stosunkowo dokładnie opisanych jest sprawa z roku 1777 między braćmi Tomaszem i Janem Czeczótkami. Odziedziczyli po ojcu Piotrze dość znaczny majątek obciążony jednak ojcowskimi długami. W umowie z 3 sierpnia podzielili majątek i długi między siebie. Pod koniec roku młodszy Jan „wzruszył podział już uczyniony między sobą, doprowadzając się do urzędu aby chciał podział renowować”. Konflikt pełen dramatycznych zwrotów na szczęście „przez perswazyję dobrowolną przychylił ich do przyjacielskiej zgody jakoż według braterskiej miłości zgodę wieczystą między sobą uczynili”. Ostatni ślad tej sprawy spotykamy w roku 1779, kiedy to Piotr, chcąc spłacić długi, sprzedał pole sąsiadujące z „plebańskim gruntem” księdzu Szczepanowi Duszyńskiemu. Inną ciekawą historią jest sprawa między Szymonem i Kazimierzem Wójcikami. Młodszy z braci Kazimierz handlował wołami na Śląsku.

POŁOWY XVII WIEKU

Stanisław Król

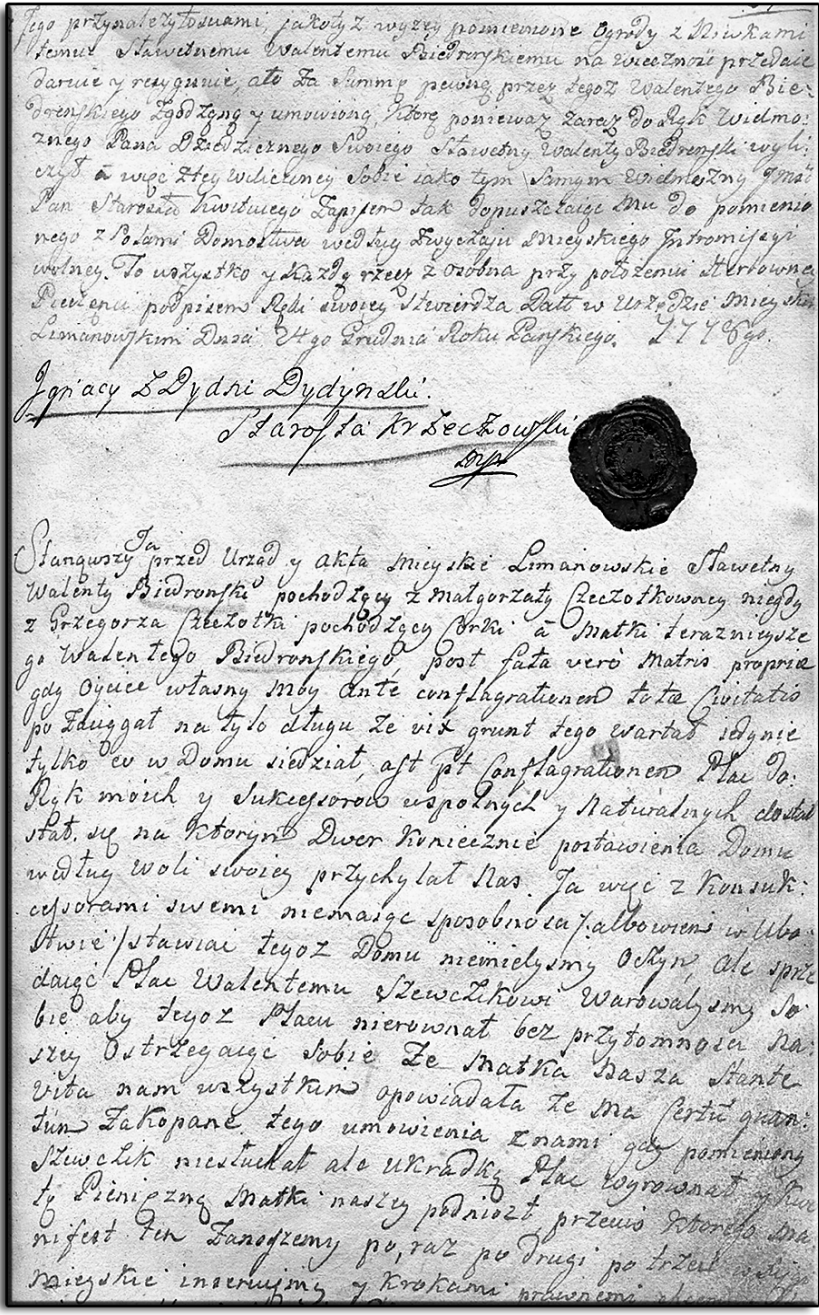
Na pierwszej stronie: Strona tytułowa dokumentu, na której widnieje zapis: „(...) Domow nowo postawionych po zgorzeniu Miasta Które to Miasto Limanowa zgorzało Roku Pańskiego 1769 dnia 1ego Miesiąca Marca”. Obok: Jedna ze stron dokumentu z pieczęcią i podpisem dziedzica Ignacego Dydyńskiego.

Zupełnie odmienny w swojej wymowie i stylistyce jest zamieszczony w księdze testament księdza Szczepana Duszyńskiego. Ten zasłużony dla miasta proboszcz w bardzo trudnych czasach odbudował kościół i parafię z całkowitej ruiny. „Najprzód oddaję duszę Bogu najwyższemu jako twórcy jej początkowi a po tym ciało ziemi które przystojnie będzie pochowane (...)” pisze ksiądz Duszyński, po czym wydaje dyspozycje w sprawie swojego pogrzebu. Dzieli również swój dość znaczny majątek, przekazując większość swojemu bratankowi i późniejszemu wielkiemu proboszczowi limanowskiej parafii księdzu Janowi Duszyńskiemu.

Sporo miejsca zajmują w księdze sprawy związane z właścicielem miasta Ignacym Dydyńskim. Miał on decydujący głos w wielu sprawach, mimo że prawo magdeburskie gwarantowało pewną samorządność miastu. To dziedzic rozstrzygał poważniejsze konflikty, sprzedawał nieruchomości lub wspierał swoich poddanych. W jednej ze spraw czytamy „A kiedy przez przypadkowy ogień na całe miasto w roku 1769 z woli dopuszczonej boskiej y domostwo w proch się obróciło, z tej przyczyny niemając żadnego sposobu postawić nowego domostwa dwór go rozkazał zbudować.” Nie był to jedynie przejaw zyczliwości, ale troska o swój majątek. Znajdziemy bowiem również informacje o sporach o pastwiska, pola i las miejski między mieszczanami limanowskimi i rodziną Dydyńskich. W tej ostatniej sprawie „Lubo wielmożny Józef z Dydyńki Dydyński dziedzic Mordarki y Sowlin na żądanie mieszczan limanowskich (...) dwa kęsy lasu swego ustąpił”. Problem granic wydaje się dość powszechny w XVIII-wiecznej Limanowej.

Ostatnie zapisy w księdze są z końca lat osiemdziesiątych XVIII wieku. Dla celów podatkowych władze austriackie w następnych latach stworzyły własną bardzo obszerną dokumentację, którą w XIX wieku wzbogaciły inne przekazy. W ten sposób historycy otrzymali bardzo bogaty materiał do badań czasów galicyjskich. Na jego podstawie powstało wiele ciekawych prac dotyczących naszego miasta. Prezentowany dokument zawiera wiele cennych informacji z czasów nieco mniej znanych. Dobrze, że w czasach rozwoju Limanowa dostrzeżga i otacza opieką pamiątki swojej przeszłości. Udostępnione i poddane analizie historycznej podnoszą jej prestiż i dokumentują miejskie tradycje.

Redakcja „Echa Limanowskiego” dziękuje burmistrzowi Limanowej p. Markowi Czeczółce za udostępnienie księgi oraz p. Jolancie Szyler za pomoc w przygotowaniu materiałów do artykułu.



Jeden z takich interesów nie powiódł się i limanowski kupiec poniósł dość znaczne straty. Przez kilka następnych lat Kazimierz nie wracał do miasteczka, ponieważ zwierzęta były własnością dziedzica Ignacego Dydyńskiego. Ten chcąc zmusić dłużnika „zonę przez dłuży czas w kajdanach we dworze trzymał pokiby się mąż nie wrócił”. Na szczęście za brata zaręczył Szymon, za co otrzymał część ziemi młodszego brata. Tego rodzaju zapisy potwierdzone podpisem lub krzyżykiem są być może opowieściami samych zainteresowanych, którym nieco formy urzędowej nadał miejski pisarz. Zwracają uwagę często powtarzające się formułki „stanąwszy przed urzędem miejskim limanowskim” lub „nieprzymuszony ani żadną namową zwiedziony będąc zdrowym na ciele y umyśle”. Są to jednak sprawy zwykłych ludzi pochłoniętych przyziemnymi troskami.

Barwna postać limanowskiej konspiracji, czyli Jadwiga Monika Czartoryska Karolowa Belina Brzozowska

Znów udało się odtworzyć kolejną biografię związaną z Limanowszczyzną. Od kilku lat poszukiwałam śladów Jadwigi Czartoryskiej. Wreszcie dwa miesiące temu otrzymałam z innej zupełnie okazji zaproszenie na spotkanie z ...Jadwigą Czartoryską! Okazało się jednak, że to przypadkowa zbieżność nazwisk, bo moja rozmówczyni należała do pokolenia powojennego, ale...po- dała mi telefon do właściwej Rodziny, depozytariuszki śladów.

Jadwiga Monika Czartoryska należy do tych postaci Ziemi Limanowskiej, o których pamięć z perspektywy lat jest coraz żywsza. Nawiązano tę nić pamięci po utworzeniu muzeum AK przy kościele parafialnym w Szczawie. Tam bowiem kilkanaście lat temu (chyba w 1992) zjawiała się bohaterka tego artykułu jako matka chrzestna Sztandaru 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK. Ale po kolei.

Aby przybliżyć czytelnikom jej sylwetkę, cofnijmy się nieco. Książęca o dynastycznym pochodzeniu rodzina Czartoryskich, znana była szeroko w całej Europie, że wymienię tylko Adama Jerzego (1770-1861), pisarza i jednego z liderów emigracji polistopadowej we Francji, określanej mianem obozu Hotelu Lambert. Ojciec tegoż, Adam Kazimierz (1734-1823), zwolennik Konstytucji 3 Maja, był generałem ziem podolskich. Przywodzi to na myśl rozległe Kresy Rzeczypospolitej.

Tam w Żurawnie w pow. żydaczowskim, gospodarowali rodzice Jadwigi: Kazimierz Czartoryski (1892-1936) wraz z Heleną (1894-1988) ze Skrzyńskich, właścicielką Żurawna. Należało ono do rodu Skrzyńskich od XIX w.

Ojciec Jadwigi był jednym z jedenaściorga dzieci Jadwigi z Dzieduszyckich i Witolda Czartoryskiego. Spośród tego rodu wyrosła zakonnica i trzech księży. Jeden z nich to Jan Czartoryski, późn.

dominikanin, Ojciec Michał (1897-1944), beatyfikowany 13 czerwca 1999 roku w Warszawie przez papieża Jana Pawła II. Jest on patronem Jarosławia. Zawierucha rewolucyjna wysadziła czasowo rodzinę z tego siedla. Majątek zajęło wojsko bolszewickie, matka wyjechała więc do Poznania, gdzie 3 września 1920 roku urodziła córkę Jadwigę, a ojciec walczył na wojnie.

Powiększająca się rodzina do wybuchu II wojny światowej zajmowała w Żurawnie pałac Czartoryskich z XVIII w. Rodowa siedziba spłonęła w 1904 roku i została odbudowana przez dziadka Jadwigi, Antoniego Skrzyńskiego, w stylu rezydencji francuskich. Była ona położona w widłach rzek: Świcy i Dniestru. Z okien rozciągał się piękny widok na szeroko rozlany Dniestr i wspaniały park z ogrodem botanicznym.

W ostatnich latach przed wojną rodzina przenosiła się na zimę do Lwowa, celem kształcenia dzieci.

A oto rodzeństwo Jadwigi według starszeństwa: brat Antoni (1919-1991, por. WP, żołnierz AK i WiN, żona z Sylwią z d. Polony), siostry: Teresa Maria (1923-1981, zamężna Rostworowska), Maria Gabriela (1924-1929), Anna Maria Weronika (1927-1997, zamężna Golińska); brat Andrzej (1929-1999, żona z Olgą z hr. Tyszkiewiczów, dyr. Warsztatów Szkolnych w Zakładzie

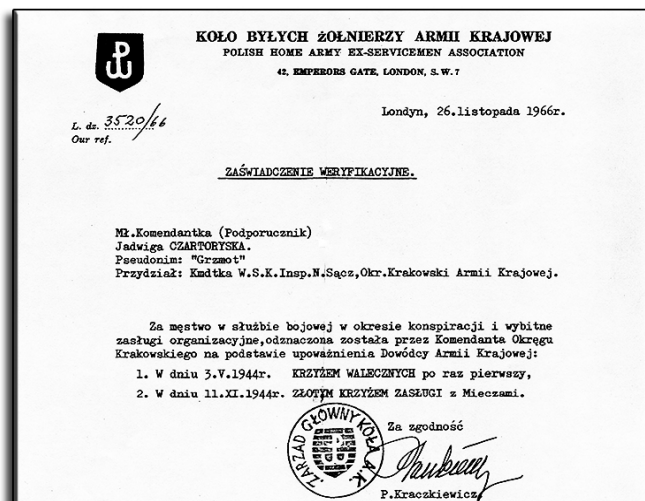


Jadwiga Monika Czartoryska (1920-1998)

w Laskach, prezes Związku Rodzinnego Czartoryskich) i pozostające przy życiu dwie siostry Czartoryskie: Cecylia Maria (ur. 1930, założycielka Domu Małego Dziecka Niewidomego w Laskach, następnie na Saskiej Kępie) i Barbara Maria (ur. 1935, biolog, przewodnicząca Związku Rodzinnemu Czartoryskich).

Jadwiga Czartoryska odebrała staranne domowe wykształcenie i wychowanie, a potem przy klasztorze ss. Sacré Coeur w Zbylitowskiej Górze ukończyła gimnazjum i zdała maturę.

Tuż przed wybuchem wojny 1939 roku, rodzina zapakowawszy na fura co się dało - jedzenie i jakieś tam ciepłe ubrania - także przyjechała do Lwowa, opuszczając Żurawno na zawsze. Tam przeżyła bombardowanie i oblężenie miasta, napływ uciekinierów przed Niemcami, potem z kolei ze wschodu z powrotem, więc żywność szybko się skończyła. No i to rozbranie polskiego wojska przez Sowietów, co było strasznym doświadczeniem dziewiętnastolatki. W ostatniej wprost sekundzie, umykając wywózkom i aresztowaniom, w listopadzie 1939, Czartoryscy przez zieloną granicę na Sanie [San stał się bowiem rzeką graniczną między dwiema okupacja-





Szczawa 1992 r. Jadwiga Czartoryska - matka chrzestna Sztandaru 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK.



mi na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow] przedostali się do Zamościa, a stąd do Zwierzyńca Zamoyskich, którzy dali fury i naokoło, naokoło, dotarli do Pełkiń (ob. woj. podkarpackie), innej rodowej sadyby sławnego rodu.

Jadwiga natychmiast rozejrzała się za jakimś zajęciem.

Najpierw odbyła praktykę ogrodniczą w Przeworsku, po czym pojechała na krótko do Zaklikowa, by zająć się takim małym folwarczkiem, potem podjęła praktykę rolną w Kluczkowicach.

Od 1 stycznia 1941 roku należała do Związku Walki Zbrojnej. W początkach tego roku udała się do Warszawy, gdzie formalnie przez rok odbywała kursy z księgowości, a faktycznie konspiracyjne przeszkolenie w podchorążówce, skąd na początku 1942 posłano ją na Podhale, do konspiracyjnej organizacji ziemiańskiej o kryptonimie Uprawa (późn. ze względów bezpieczeństwa zmieniająca nazwę na Tarcza i Opieka), w latach 1939-1945 wspierającej ZWZ-AK poprzez dostarczanie żywności, magazynowanie broni i ukrywanie osób, zagrożonych aresztowaniem bądź prześladowaniem.

W ten sposób Jadwiga Czartoryska została w stopniu ppor. komendantką Wojskowej Służby Kobiet AK na powiat limanowski (Obwód Limanowa), a od czerwca 1944 do końca okupacji komendantką WSK w nowosądeckim Inspektoracie „Niwa” AK jak i komendantką Tarczy.

Znana była pod konspiracyjnym pseudonimem „Grzmot”, przede wszystkim jako łączniczka przebywająca na placówce „Dwór” u Ireny z Ożegalskich i Alek-

sandra Romerów w Jodłowniku. Funkcję łączniczki i komendantki WSK kontynuowała w odtworzonym 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK.

Oficjalnie została zarejestrowana jako pomoc w gospodarstwie i praktykantka rolna. Poruszała się dużo, odwiedzała konno i na rowerze liczne majątki ziemskie, przekazując ważne informacje od dowództwa oraz pieczołowicie gromadząc meldunki z terenu. W jej zasięgu działania była Limanowa, Nowy Sącz, Nowy Targ, Kalwaria Zebrzydowska i Centrala na ul. Długiej w Krakowie, gdzie także na rowerze docierała.

Do wyczynów należało przewiezienie z Krakowa dużej paczki ze zrzutów z radiostacją. Zabrała się po ten ładunek samochodem tymbarskiej owocarni. W drodze powrotnej z Krakowa do Limanowej rzeczoną pakę wepchnęła pod ławkę w rogu i nakryła dla niepoznaki płaszczem z lodenu, jaki ówczesnie nosiły Niemki, co miało upozorować, że pasażerka też z tej nacji jest. Tymczasem pod Myślenicami odbyła się rewizja. Niemcy wyrzucili spod plan-deki wszystkie kobiety, które także zabrały się tymbarską okazją za handlem do Krakowa, wytarmosili ich skromny, ale na szczęście nie tak zagrożony nabytek do imentu, a tylko na zewnątrz pewną siebie pasażerkę zostawili w spokoju!

Góry były jej uniwersytetem. Zapamiętała je jako skrawek niezłomnej Rzeczypospolitej, gdzie Niemcy bali się wchodzić, ale tym bardziej mścili się za wysadzane tu często pociagi czy zasadzki na szosach.

Do Limanowej i okolicznych miejscowości przyjeżdżała, by kontaktować się z partyzantami AK, którzy przebywali w lasach limanowskich. Jej rezolutność, opowanie, brawura i spontaniczna radość udzielała się partyzanckiej braci. Toteż każde pojawienie się „Grzmota” witano gromkimi okrzykami. Okazją do rzadkiego szaleństwa były imieniny komendantki. Obchodzono je w lesie hucznie, choć z niezbędną w takich okolicznościach baczniejszą strażą na czatach. Więc królowała o tej jesiennej porze baranina w różnych wersjach, podlewana obficie łąką śliwowicą.

W Limanowej współpracowała m. in. z uczestniczkami ruchu oporu: Ewą Marsówną (1902-1989), córką Kazimierza i Władysławy Marsów z Sowlin, absolwentką chemii i wykładowczynią UJK we Lwowie (po wojnie na UW w Warszawie) oraz z Zofią Świeykowską (1907-1973), przyjaciółką Ewy, osobą wszechstronnie wykształconą w dziedzinie fizyki i filozofii. Była ona córką Emanuela Ignacego Świeykowskiego (1874-1909), absolwenta UJ, dr. filozofii i historyka sztuki i Zofii z Zamoyskich (1880-1913). Podczas okupacji obie panie przyjechały ze Lwowa do Limanowej, gdzie spędziły wszystkie lata wojny. Żywo zaangażowane w konspirację, ukrywały się. Chroniły „spalonych” i zagrożonych, a oparciem był im limanowski dwór Marsów.

(ciąg dalszy na stronie 43)

Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Limanowej ma ponad 80-cio letnią tradycję. W tym okresie przeżywała wzloty i upadki. Dziś zajmuje dobrą pozycję na rynku z bogatą ofertą handlową. Produkty spółdzielni cieszą się dużą popularnością w Limanowej i poza nią.

O tych sukcesach rozmawiamy z prezesem Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej mgr. inż. Józefem Urbańskim.

W realiach współczesnych Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska

O Spółdzielni i jej historii pisaliśmy w „Echu Limanowskim” w numerze 144 we wrześniu 2006 r. w artykule pt. „Sukces nie przychodzi sam”. Proszę krótko przypomnieć Czytelnikom dzieje spółdzielni.

Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Limanowej specjalizuje się w produkcji serów dojrzewających typu holenderskiego oraz twarogów. Surowiec do produkcji wyrobów pozyskiwany jest od krów wypasanych na pastwiskach górskich. Ten atut ekologiczny jest podstawą do produkcji artykułów o wyjątkowych cechach zdrowotnych i smakowych.

Działalność Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Limanowej sięga roku 1927. W dniu 29 stycznia 1927 roku, w jednym z domów chłopskich w Tymbarku zebrali się członkowie, aby założyć Spółdzielnię. Spółdzielnia rozwijała się znakomicie, stając się dobrodziejstwem dla okolicy. W październiku 1929 roku powstaje odrębna Spółdzielnia Mleczarska w Łososinie Górnej. Jej głównym inicjatorem był inż. Jan Drożdż, założyciel Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej. W roku 1957 następuje połączenie spółdzielni w Tymbarku i Łososinie Górnej w jedną spółdzielnię.

Na przestrzeni ostatnich lat spółdzielnia przechodziła różne zmiany organizacyjne. Było to spowodowane sytuacją w Polsce. Ostatecznie, 15 listopada 1980 roku reaktywowano Okręgową Spółdzielnię Mleczarską w Limanowej.

Jak Spółdzielnia Mleczarska poradziła sobie w trudnej sytuacji rynkowej?

Z chwilą reaktywowania Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Limanowej następuje jej rozwój. W okresie całej swojej działalności przykładaliśmy równocześnie bardzo dużą wagę do rozwoju zakładów produkcyjnych w Limanowej i Tymbarku oraz współpracy z samorzą-



Jeden z budynków OSM w Limanowej.

dem lokalnym, jak i wojewódzkim. Spółdzielnia w roku 1990 rozpoczęła budowę oczyszczalni ścieków w Limanowej. Po ukończeniu jej budowy ścieki z dzielnicy Łososina Górna zostają oczyszczane na zakładowej oczyszczalni ścieków. W wyniku zmian, jakie zaszły w Polsce po 1989 roku, następuje dynamiczny rozwój spółdzielni, czego dowodem jest znaczny wzrost skupu mleka. Skup w 1995 roku wyniósł 5,6 mln litrów, a w roku 2006 14,9 mln litrów. W tym to okresie rozpoczyna się współpraca z dostawcami z innych terenów. Organizujemy skup mleka na terenie powiatu bocheńskiego, myślenickiego, wielickiego.

W wyniku podjętej współpracy z samorządem powiatu myślenickiego spółdzielnia jest zapraszana co roku do udziału w targach poznańskich. Obecnie spółdzielnia skupuje i przerabia około 40 - 60 tys. litrów mleka dziennie od około 2000 dostawców przy zatrudnieniu 100 osób.

Długoletnia współpraca z dostawcami sprzyja ciąglemu wzrostowi jakości surowca, co znajduje odzwierciedlenie w wysokiej ocenie naszych wyrobów przez konsumentów. W okresie przedakcesyjnym jak i po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej Spółdzielnia Mleczarska trzy razy korzystała z funduszy

pomocowych (między innymi dzięki tym środkom było możliwe unowocześnienie i wyposażenie zakładów w specjalistyczny park maszynowy).

Główne produkty to mleko spożywcze 2 %; 3,2%; twarogi: chudy, półtłusty, tłusty; sery dojrzewające: gouda, edamski, łososiniński, salami; masło oraz galanteria mleczarska.

Spółdzielnia sprzedaje swoje produkty na terenie kraju. Obecnie największym rynkiem zbytu jest miasto Kraków i okolice oraz rynek lokalny. Spółdzielnia współpracuje z polskimi hurtowniami, siecią prywatnych sklepów i gminnych spółdzielni Samopomoc Chłopska oraz placówkami zbiorowego żywienia.

W chwili obecnej spółdzielnia może prowadzić działalność handlową na terenie krajów Unii Europejskiej.

Zdaliście państwo egzamin w warunkach wielkiej konkurencji w przetwórstwie i handlu, tak więc musieliście się czymś wyróżnić, wykazać i zdobyć zaufanie nie tylko na rynku krajowym ale i zagranicą. Jakie są więc dowody tego uznania?

Za swoją działalność spółdzielnia otrzymała wiele certyfikatów i wyróżnień.



Najważniejsze to: Lider Ekologii w Małopolsce roku 2002, Lider Biznesu powiatu limanowskiego, Certyfikat Najwyższej Jakości przyznany przez Wielkopolskie Stowarzyszenie Badań nad Jakością - nadane 7.11.2005 r. w Poznaniu oraz 14.12. 2007 r., Certyfikat Zgodności na produkcję ekologiczną - 2006, 2007, Uznana Marka - Limanowa 2006, Puchar ARR Kraków w konkursie „Przetwory mleczne” - Kraków 2006, Wicemistrz Agroliga 2005 województwa małopolskiego.

Oprócz podstawowej działalności, jakim jest skup, produkcja, handel, spółdzielnia bierze udział w różnych wystawach, konkursach, targach oraz prowadzi działalność charytatywną.

W roku 2006 OSM brała udział w targach ekologicznych w Norymberdze. Podczas wystawy Agropromocja 2007, która odbyła się w Nawojowej, ser łosiński zajął drugie miejsce w konkursie „Nasze kulinarne dziedzictwo”. Wyniki, jakie uzyskuje spółdzielnia w swojej działalności, są zauważalne w skali kraju. W ogólnopolskim agrorankingu zakładów mleczarskich w Polsce za rok 2006 przeprowadzonym przez czasopismo Agro - Trendy spółdzielnia została oceniona bardzo wysoko.

Na 9 ocenianych kategoriach zostaliśmy odnotowani w 5: dynamika przychodów, rentowność sprzedaży netto, rentowność operacyjna, zwrot kapitałów własnych, intensywność inwestowania.

W agro rankingu brały udział zakłady bardzo duże i małe.

Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Limanowej należy do Krajowego Związku Spółdzielni Mleczarskich

w Warszawie oraz do Małopolskiego Związku Mleczarskiego w Krakowie.

Jakie są plany rozwoju spółdzielni na najbliższą przyszłość?

Można powiedzieć, że choć Spółdzielnia znajduje się w „podeszłym wieku” to jednak przeżywa wraz z rolnikami, jej członkami, drugą młodość.

W ciągu kilku lat zmniejszyła się wprawdzie liczba dostawców, z czym wiąże się oczywiście większa wydajność od krów. Dziennie skupujemy około 40 - 60 tys. litrów surowca. Jest on najwyższej jakości, praktycznie rzecz biorąc niemal w stu procentach w najwyższej klasie extra. To pozwala Spółdzielni produkować wyroby też najwyższej klasy, za które spółdzielnia zbiera nagrody i puchary oraz zaszczytne tytuły jak Certyfikat Najwyższej Jakości.

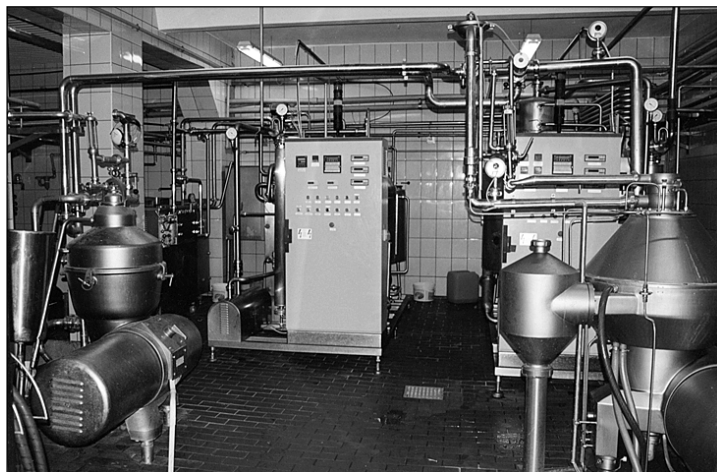
Spółdzielnia posiada opracowany program rozwoju inwestycyjnego. Zarząd spółdzielni przedkłada Radzie Nadzorczej na Walnym Zebraniu Przedsta-

wicieli projekty inwestycji i choć to są poważne wydatki nikt z członków rady nigdy się im nie sprzeciwił. Członkowie rozumieją, że przyjęty przez Radę i Zarząd kurs na modernizację zakładów produkcyjnych gwarantuje pomyślną przyszłość tak Spółdzielni, jak i gospodarstw zrzeszonych w niej rolników.

W celu poprawy wartości użytkowej bydła mlecznego Spółdzielnia współpracuje z Polską Federacją Hodowców Bydła i Producentów Mleka. Gospodarstwa, w których prowadzona jest ocena wartości użytkowej systematycznie zwiększają swoje stada. Następuje znaczący wzrost wydajności mlecznej od krów. Prowadzona ocena wartości użytkowej bydła stanowi podstawę do realizacji programów hodowlanych. Hodowcy powiatu limanowskiego w roku 2007 uczestniczyli w wystawie zwierząt w Szczyrzycu. Skup mleka w roku 2007 wyniósł 14 mln litrów. Mleko skupowano od 2000 dostawców, za pośrednictwem Punktów Odbioru Mle-

ka, Stacji Niskiego Chłodzenia. Ponadto uruchomiono trzy trasy, gdzie mleko jest odbierane prosto z gospodarstw przez cysterny samozbierające.

**Rozmawiał:
Władysław
Frączek**



Linia produkcyjna.

Czekając na sen psa



Mój Dzik i kolega Antoni pozują do obrazu - „Św. Franciszek i wilk Gubbio”.

Boże Narodzenie ostatnie. Noc wigilijna skrzy się śniegiem, nie tylko świecidełkami; *Stille Nacht! Heilige Nacht!* – godnie jest, bo i petard jakoś nie słyhać. Żeby jeszcze zwierzę ludzkim głosem zagadało...

W tę jedyną noc w roku ma mieć taką możliwość.

Normalnie to ze zwierząt „ludzkim głosem” gada papuga, obce przekleństwa przeważnie. Bo kiedyś długo wieziona statkiem uczyła się tego, co najczęściej od majtków słyszała. A potem to już tak tradycyjnie zostało. W serialu „Rekiny Europy” nowobogacki Rewiński obrzucony wiązanką przez przywiezioną z Karaibów papugę, poetyzuje:

O kraju oświecony, w którym ptactwo domowe w obcych językach gada!

Jeszcze bardziej uczona papuga w „Kordianie” Słowackiego gada z papieżem po łacinie i to tak, że długo nie było zgody na pochówek autora w katedrze wawelskiej. Gdy doktor Dolittle z powieści Hugh’a Loftinga postanowił leczyć zwierzęta, myślał, że porozumiewać się z pacjentami będzie za pośrednictwem mądrej papugi Polinezji, ale ta szybko nauczyła go języka innych zwierząt - Czy nie widzi pan, że pies podno-

si lewą brew? Przecież mówi: Nie widzicie, że deszcz przestał padać?

No właśnie, pies. Gdybym chciał usłyszeć od niego ludzką mowę, żądałbym cudu niemożliwego; paradoksalnie – nie oczekujemy cudownego odrośnięcia utraconej nogi, ale ustąpienia paraliżu tak, bo to się zdarza. Jedynie niektóre z ptaków mają aparat dźwięku umożliwiający skrzek przypominający (przy dobrej woli słuchającego) ludzkie wyrażenia. Wykrzykując je, ptak niewątpliwie coś mówi, raczej jednak nie to, co dla nas owe słowopodobne dźwięki znaczą.

Zwierzęta udomowione bardzo zrozumiale informują nas o swoich doraźnych potrzebach „zagadywaniem” po swojemu, trącaniem nas czy wykonywaniem swoistego tańca - język znaków ma bardzo szeroki zakres i my ludzie, też się nim poza mową posługujemy. Taki na przykład „język migowy” jest uniwersalny i jesteśmy w stanie w sprawach najprostszych porozumieć się nim z każdym w świecie. Ale porozmawiać?

Rozmawiać można na określony temat, ale też, gdy zaistnieje „situacja rozmowy” i gada się z kimś z potrzeby wygadania lub dlatego, że wypada. I może być tak, że nie wymiana konkretnych myśli

jest istotna, lecz tworzenie międzyludzkiej więzi. Stanisław Maria Saliński w książce „Ptaki powracają do snów” przedstawia taką historię - na pocz. lat 20 – tych ktoś przywiózł do Warszawy Ryochu Umedę, późniejszego profesora polonistyki i tłumacza literatury polskiej na japoński, ale wtedy młodego człowieka, który ledwo wyszedł z buddyjskiego klasztoru kontemplacyjnego i poza ojczystym językiem ledwo coś tam bąkał po angielsku. Za to był ciekawy świata. Więc polscy znajomi zabrali go z Warszawy do zaprzyjaźnionego dworu na Wołyniu. Tam Umeda ubrany w kimono lubił samotnie zwiedzać okolicę i błądzić w lasach. Pewnego dnia...

... zniknął bez śladu. Gdy myślałem o zwołaniu ludzi (na poszukiwanie) nadbiegł ktoś z wiadomością, że widziano jak Umeda szedł w kierunku wsi. Wsiadłem na konia i pogalopowałem, co tchu. Przy jednej z chat dojrzałem zbiegowisko. Na pytanie czy nie widziano tu Japończyka, jeden z gospodarzy odpowiedział:

Ta je, panie. O, tam u chaci z ludmy balakaje.

Ledwie wszedłem, taki był ścisk. Byłem ciekaw, po jakimu on „z ludmy balakaje”... Audytorium wytrzeszczało oczy na kimonowe dziwo, a Umeda opowiadał coś po japońsku, uśmiechając się swoim ujmującym, szczerym uśmiechem. Widać było, że ten uśmiech trafił do prostych serc, bo uwagi wymieniane od czasu do czasu wśród obecnych nie były ani trochę złośliwe.

Można więc zajmująco „balakać” bez rozumienia słów. Między ludźmi, ale ze zwierzęciem? Czy nasz zwierz domowy chciałby nam więcej powiedzieć niż - *Jeś! Sikać! Na spacer!*

O takim zdarzeniu z radia – pewna rodzina amerykańska miała kota. A do domu w sąsiedztwie wprowadziła się trzy-pokoleniowa rodzina koreańska. Za jakiś czas kot, który wcześniej nie opuszczał ogrodu, zaczął znikać na kilka godzin. Jego panią właścicielkę niepokoiło to, bo w USA na serio odpowiada się za zwierzę i to, co ono może uczynić. Pewnego dnia usłyszała jak za płotem babcia Koreanka rozprawia coś po swojemu. Może mówi sama do siebie, ale dlaczego co chwilę robi przerwy? Pani dyskretnie zaglądnęła do sąsiadów i co widzi? Na poręczu ławki siedzi jej kot i słucha staruszki. A może nawet jej odpowiada.

Barwna postać limanowskiej konspiracji Jadwiga Monika Czartoryska

A co człowiek może mieć do powiedzenia kotu? Pozwólę tu sobie oddać głos wielkiemu kapłanowi ś.p. Ojcu Stanisławowi Musiałowi, który tak przedstawił swą wakacyjną przyjaźń z kotką Kasjopeją w Monachium:

Pod koniec mojego pobytu na plebanii zdobyłem się nawet na gest bardzo braterski wobec Kasjopei. Powiedziałem jej: „Kasjopejo, Ty jesteś arystokratką, potomkiem kotów dworzan z pałacu faraonów, a może nawet jesteś z kotów świątynnych, ja zaś jestem potomkiem chłopów z Łososiny. Moi przodkowie jedli posiłki całą rodziną ze wspólnej misy. Niech teraz tak będzie i z nami,“ (...) Kasjopeja nie odrzuciła mego zaproszenia. Jedliśmy w milczeniu. Ona z jednej strony talerza – z wielką gracją, a ja z drugiej – na pewno z mniejszą gracją, co mnie zawstydzalo.

I jeszcze dwa zdania wyjęte z tego samego tekstu, ale nie z kontekstu:

... dobrze, że nie zrobiłem z Kasjopei „człowieka” i że nie przeszkodziłem jej zostać sobą czyli kotem... Każde stworzenie ma życie od Boga i nie jest skazane na zależności pańszczyźniane od innych.

Z moim psem też sobie na różne sposoby gadamy, to znaczy ja do niego przede wszystkim słowem – on głosem i całym sobą. Ze słów rozumie dużo, właściwie prawie wszystko z tego, co dla niego istotne. Ale nie wszystko pojmuję tak, jakbyśmy chcieli, bo jest psem. Na słowa „spacer”, „las” czy „pójdziemy” reaguje entuzjastycznie, bo to dla niego największa radość, dlatego tych wyrazów należy przy nim używać ostrożnie. Nie mogę mu tłumaczyć: Dziku, na spacer pójdziemy jutro! Bo „pójdziemy” znaczy „natychmiast pójdziemy”. Brak poczucia czasu? Zupełnie inne go pojmowanie? Czasem pies pozostawiony sam na niedługo nawet w domu wyje z przesadną rozpaczą. Kiedy indziej zaś...

Dziś już mówi się o tym jako o najmłodszej legendzie Krakowa, choć rzecz jest autentyczna. Dotyczy psa, wtórnie nazwanego Dżokiem, który na Rondzie Grunwaldzkim czekał na powrót pana, który podczas spaceru z nim umarł na serce. Dożywany przez dobrych ludzi dopiero po upływie roku dał się przygarnąć nowej pani. Gdy ta po kilku latach zmarła, uciekł ze schroniska i zginął pod pociągiem. Niektórzy twierdzą, że zrobił to specjalnie.

Gdy rzucono hasło, by wielkość ofiary Dżoka uwiecznić pomnikiem, wielki skowyt się rozległ ze strony kół zatwardziałe zachowawczych, ale monument stanął w 2001 r. zaprojektowany przez samego Bronisława Chromego. Jako podobno trzeci pomnik psa na świecie. Dziś już ich więcej stoi. Kiedyś Ameryka to dla niektórych był kraj, gdzie całkiem jeszcze dobre auta leżą na śmietniskach i są cementarze dla psów. Dziś w Polsce ilość samochodów w stosunku do pogłowia adekwatna do Ameryki, więc?

Czy każdy pies potrafiłby być taki jak Dżok? Na pewno nie, ale o tzw. człowieczeństwie nie świadczą wszyscy ludzie, tylko ci w czynach najlepsi. O tych najgorszych mówiono – chyba zresztą na całym świecie – psy. Nie wiem skąd się to wzięło, ale dziś już takim określeniem nie próbuje się nikogo obrazić. Po prostu stało się nietrafne.

A mój Dzik wreszcie zasnął na dobre na dywanie, coś czasem mruczy lub porusza łapą, pewnie śni mu się wycieczka na Mogielicę i nawet nie wie, jak upodabnia się w tym do człowieka.

Tekst i fotografia: Zbigniew Sułkowski

Rodzina Czartoryskich jakiś czas chroniła się pod koniec okupacji w innym dworze tj. u Żuk-Skarszewskich w Przyszowej.

Za postawę podczas wojny została Jadwiga Czartoryska odznaczona Krzyżem Walecznych (3.05.1944), Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami (11.11.1944) oraz w 1967 londyńskim Medalem Wojska (po raz 1, 2, 3 i 4). Była postacią barwną i szanowaną w środowisku kombatanckim Podhalańczyków, ostatnio, od 1994 roku, jako sekretarz Zarządu Obszaru Związku Żołnierzy AK.

Z chwilą oswobodzenia Limanowej, epizodycznie znalazła się w Zatorze, nieopodal Wadowic, prowadząc tam folwarczek księdza proboszcza.

Niedługo potem, 1 września 1946 roku, wyszła za mąż za Karola Belinę Brzozowskiego (1917-1997) z Sokołówki i przenieśli się w 1947 z rodziną w okolice Warszawy, do wynajmowanego małego domku w Zalesiu Górnym, a potem osiadła na stałe w Warszawie.

Miała czworo dzieci: córki Zofię (ur. 1949, zm. w dzieciństwie) i Marię (zameżną za Konstantym Bnińskim, z którym ma dwie córki: Izabellę i Annę) oraz synów Macieja (żonatego z Kamilią Zaborowską, z którą ma dwoje dzieci, tj. syna Karola, ożenionego z Marią Bocheńską i córkę Magdalenę, zameżną za Markiem Milanowskim) i Piotra (żonatego z Ewą Dębicką; mają dwie córki: Marię i Zofię, zameżną za Michałem Kulsem).

Obie rodziny, Czartoryskich i Beliny Brzozowskich, straciły wszystkie swoje dobra i przez lata całe żyły skromnie, by nie rzec biednie. Mąż Jadwigi, o przeszłości partyzanckiej (walczył w oddziale Kilińskiego, miał ps. Tryb.), w początkowych latach małżeństwa miał problemy z dostaniem pracy, zaś Jadwiga dorabiała grosze robieniem swetrów na maszynie. Później zaczęła udzielać lekcji angielskiego i krótko pracowała jako nauczycielka, po czym dostała posadę w ambasadzie afgańskiej, a najdłużej urzędowała (1.12.1964 - 31.12.1990) w Ambasadzie Królestwa Norwegii. Za tę pracę została uhonorowana medalem Olafa V, króla tego państwa. Pracę w tej placówce kontynuuje jej córka Maria Bnińska.

Jadwiga Czartoryska zmarła 22 lutego 1998 roku w Warszawie, a więc dziesięć lat temu. Spoczywa w grobowcu rodzinnym na Powązkach.

Tekst: Elżbieta Wojtas-Ciborska
Fotografie: z arch. rodzinnego
przygotował: Maciej Belina Brzozowski

W artykule wykorzystałam: I tom monografii pt. *Limanowa. Dzieje miasta 1565–1945* pod red. Feliksa Kiryka, Wyd. Drukarnia „Secesja”, Kraków 1999, s. 593; książkę Piotra Szymona Łosia pt. *Szkiecy do portretu ziemian polskich XX wieku*, Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2005, s. 468, 470, 478, 480, 528, 531, 640; artykuł Genowefy Drożdż-Kęski pt. *Irena Ozegalska-Romerowa z Jodłownika*, „Almanach Ziemi Limanowskiej” nr 14/Jesień 2003, s. 32-34; informacje, dokumenty i zdjęcia Marii Bnińskiej i Piotra Beliny Brzozowskiego (córki i syna Jadwigi Czartoryskiej) oraz Kamili Brzozowskiej (synowej, żony Macieja Beliny Brzozowskiego).

II edycja AUTOLOKATY



OSZCZĘDZAJ, LOKUJ
A **ODJEDZIESZ...**

Założ lokatę i **wygraj:**



2 x **samochód Peugeot 107**



5 x **notebook**



3 x **kamera**

Promocja trwa od 1 grudnia 2007 do 28 lutego 2008.

www.bs.limanowa.pl

ul. Piłsudskiego 14 • Limanowa
tel. (018) 33 74 127
www.impuls.limanowa.pl

Naszym Klientom
wykonujemy **bezpłatne**
kalkulacje podstawowych
materiałów budowlanych
oraz kompletnych
systemów dachowych.

**PRZYSTĄP DO PROGRAMU:
"BUDUJ DOM Z PSB"**

**HITY
cenowe**



Z a p r a s z a m y